◆ JAN PARANDOWSKI: Tajemnice rzemiosła ◆ WOJCIECH ŻUKROWSKI: Ręka ojca ◆

CZYTELNIK

ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja Daszyńskiego 16
Administracja Daszyńskiego 1/
Cena 25 zł

Rok V | Warszawa, dnia 11 kwietnia 1948 r. | Nr 15 (176)

ERNEST HEMINGWAY

Przełożyła EWA FISZER

GÓRY jak białe słonie

Pasmo gór, przecinające dolinę Ebro, było długie i białe. Z tej strony nie było ani drzew, ani cienia i stacja położona między dwiema liniami kolejowymi wystawiona była na palące działanie słońca. Tuż koło stacji budynki rzucały duszny cień, a na otwartych drzwiach baru wisiała dla ochrony przed muchami zasłona z pasem bambusowych paciorków Amerykanin i towarzysząca mu dziewczyna siedzieli na zewnątrz, przy specjalnie ustawionym stoliku. Było bardzo gorąco, a ekspress z Barcelony miał nadejść dopiero za czterdzieści minut. Zatrzymywał się na stacyjce przez dwie minuty i ruszał na Madryt.

— Czego się napijemy? — spytała dziewczyna. Zdjęła kapelusz i położyła go na stole.

— Ładny upał — powiedział mężczyzna.

— Napijmy się piwa — zaproponowała.

— Dos cervezas — rzucił w stronę zasłony.

— Czy duże? — spytała ode drzwi kobieta.

— Acha. Dwa duże piwa.

Kobieta wyniosła dwie szklanki i dwa tekturowe krążki. Ustawiła to wszystko na stole i przyjrzała się siedzącej parze. Dziewczyna wpatrywała się w góry. W słońcu, były zupełnie białe, a kraj brunatny i wysuszony.

— Wyglądają jak białe słonie.

— Nigdy nie widziałem słonia — mężczyzna wychylił szklankę.

— No tak. Oczywiście, że nie...

— Ale mógłbym. To, że ty mówisz: oczywiście, że nie — to niczego nie dowodzi.

Dziewczyna spojrzała na zasłonę.

— Wymalowali coś na niej. Co to znaczy?

— Reklama Anis del Toro. Ot, taki napój.

— Spróbujemy?

Mężczyzna krzyknął w stronę zasłony. Z baru wysunęła się ta sama co przedtem kobieta

— Dwa Anis del Toro.

— Z wodą?

— Czy chcesz z wodą?

— Nie wiem — odpowiedziała dziewczyna. — Czy z wodą lepsze?

— Acha.

— Czy państwo życzą sobie, aby podać wodę? — spytała po raz wtóry kobieta.

— Tak.

— Smakuje jak lukrecja — powiedziała dziewczyna, stawiając szklankę.

— Oh, tak jest ze wszystkim.

— To prawda — powiedziała dziewczyna. — Wszystko smakuje jak lukrecja. Chyba, że czekałeś na coś zbyt długo. Wtedy czujesz tylko absynt.

— Oh, przestań!

— To ty zacząłeś! — powiedziała dziewczyna. — Ja próbowałam się bawić. Próbowałam, żeby było przyjemnie.

— Spróbujmy więc jeszcze raz.

— Ja już próbowałam. Powiedziałam, że góry wyglądają jak białe słonie.

— Czy to nie było ładne?

— Było ładne.

— I chciałam popróbować tego nowego napoju. Właściwie nie robimy nic innego. Oglądamy nowe kraje i kosztujemy nowe trunki. Czyż nie?

— [illegible]

Dziewczyna zmierzyła wzrokiem góry.

— To bardzo przyjemne górki. I w rzeczywistości wcale nie są podobne do białych słoni. Miałam tylko na myśli ich kolor.

— Napijemy się jeszcze?

— Dobrze.

Ciepły wiatr szarpnął zasłoną z paciorków.

— Dobre, zimne piwo — powiedział mężczyzna.

— Przyjemne — odpowiedziała dziewczyna.

— To naprawdę strasznie prosta operacja Jig — zaczął mężczyzna. — To właściwie nawet w ogóle nie jest operacja.

Dziewczyna pogrążyła się w obserwacji stołowej nogi.

— Ja wiem, że ty byś tego nie chciała, Jig. Ale to naprawdę nic nie jest. Wciągniesz głęboko powietrze i już nic nie będziesz czuła. Mówię ci: odetchniesz głęboko i już będzie po wszystkim.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

— Przecież będę przy tobie. Cały czas. Mówię ci, że to głupstwo.

— No a co zrobimy potem?

— Potem będzie cudownie. Potem będzie nam tak, jak było przed tym.

— Skąd wiesz?

— No bo to jest jedyna rzecz, która nas dręczy. Tylko przez to jesteśmy nieszczęśliwi.

Dziewczyna spojrzała na zasłonę, wyciągnęła rękę i ujęła dwa pasma paciorków.

— Więc ty myślisz, że będzie nam dobrze i że będziemy szczęśliwi?

— Wiem, że będziemy. Nie powinnaś się bać. Znam całe mnóstwo kobiet, które robiły to samo.

— Ja też... Potem były rzeczywiście bardzo szczęśliwe.

— No dobrze — powiedział mężczyzna — przecież jeżeli nie chcesz, to nie. Nawet bym nie chciał, żebyś zrobiła coś, czego sobie nie życzysz. Ale to naprawdę jest zupełnie proste.

— A ty naprawdę tego chcesz?

— No ba! Nic lepszego nie moglibyśmy wymyśleć. Ale naprawdę nie chciałbym, abyś to zrobiła o ile sobie rzeczywiście nie życzysz.

— A czy potem bedziemy na pewno szczęśliwi i wszystko będzie tak jak przedtem i będziesz mnie kochał?

— Teraz też cię kocham. Przecież wiesz.

— No tak. Ale jeśli ja to zrobię, to czy wtedy będzie znowu przyjemnie i jak powiem, że coś jest podobne do białych słoni, to ci się będzie podobało?

— Będę zachwycony. Teraz też jestem zachwycony, ale nie bardzo mogę o tym myśleć. Wiesz, jak to ze mną jest kiedy się martwię.

— A jeżeli to zrobię — to się już nigdy nie będziesz martwił?

— Ale przecież ja się o to nie martwię. To zbyt prosta historia.

— No dobrze. Zgadzam się. Ja nie dbam o siebie.

— Co przez to rozumiesz?

— Że się o siebie nie troszczę.

— No tak, przeciez ja się tobą zajmuję.

(Dalszy ciąg na str. 3)



Gen. Świerczewski (Walter), R. Alberti — poeta hiszpański i E. Hemingway pod Saragossą

BOHATERSKIEMU POLAKOWI I WIELKIEMU EUROPEJCZYKOWI KAROLOWI ŚWIERCZEWSKIEMU w pierwszą rocznicę zgonu tę stronę jako wieniec na jego grobie składa REDAKCJA „ODRODZENIA"

LIST GEN. WALTERA DO DĄBROWSZCZAKÓW

Drodzy Towarzysze!

W imieniu 35 dywizji i własnym, zasyłam najserdeczniejsze, najszczersze życzenia z okazji pierwszej rocznicy pracy — pierwszej, prawdziwej brygadzie polskiego ludu pracującego.

Rok temu, do ziemi hiszpańskiej na której ongiś, przed wiekiem, szwoleżerzy Kozietuskiego i ułani Dziewanowskiego torowali drogę inwazji Napoleona w wąwozach Samosierry i na ulicach Saragossy — do tej ziemi rok temu przybyły pierwsze grupy górników, robotników i chłopów polskich, by tutaj, ramię w ramię z bohaterskim ludem hiszpańskim podjąć walkę orężną z faszyzmem Hitlera i Mussoliniego, by życie składać ofiarnie za wolność, za chleb, za przyszłość Polski pracującej.

Casa del Campo — i Ciudad Universitaria, niezliczone boje batalionu Dąbrowszczaków pod Madrytem a później Jarama, pogrom faszystów włoskich pod Guadalajara, uciążliwe walki w operacji pod Brunete i ostatnia bohaterska praca na Aragonie, pod Saragossą — takie są etapy z początku batalionu, a ostatnio brygady Dąbrowskiego w walce o lepsze jutro naszej polskiej Ojczyzny.

Brygada polska należy do jednej z najbardziej oddanych spośród Brygad Międzynarodowych. Jej szczerość bojowa i wysoki poziom moralny w ogniu stały się przysłowiowe. Ona nie znała i znać nie będzie najmniejszej chwili wahania w sytuacjach trudnych, jak nie znała i znać nie może chwil odwrotu i cofania się bez rozkazu.

Brygada im. Dąbrowskiego, to pierwsza w historii, tymczasem jedyna brygada orężna zbrojnych sił polskiego robotnika i chłopa, która swą pracą ofiarną realizuje stare, piękne i dumne hasło, wypisane na jej sztandarach: „Za wolność Waszą i naszą".

Wasza brygada jest pierwszą, a więc kadrową jednostką przyszłej armii zbrojnej Polski Ludowej. To obowiązuje do wzorowego ładu i porządku wojskowego wewnątrz swoich szeregów, to wymaga wzmocnienia i zniesienia dyscypliny wojskowej na wyższy poziom.

Tego od Was, towarzysze, żąda Polska pracująca, tego wymagają interesy walki z bandą psów faszystowskich, tego wymaga od nas nasze kierownictwo tutejsze.

Jeszcze raz — najszczersze pozdrowienia i podziękowania Polaka swoim ziomkom i życzenia, by sztandar Polskiej Brygady im. Dąbrowskiego powiewał dumnie i jak najwyżej wśród sztandarów brygad Armii Republikańskiej, by widziany był przede wszystkim przez tych, którzy nas tu przysłali — przez polski Lud pracujący.

Walter, generał

PAUL ELUARD

WIERSZ NA ŚMIERĆ GENERAŁA ŚWIERCZEWSKIEGO

Pamięci bohatera francuskiego i bohatera polskiego, zjednoczonych w walce i śmierci

Zabito człowieka
Człowieka a więc dawne dziecko

W krajobrazie rozległym
Plama krwi
Jak słońce które zachodzi

Człowiek przyjaciel
Kobiet i dzieci

Oto ideał człowieka
Za naszą wieczność
Padł
I serce swoje opuścił
I oczy swoje opuścił
I umysł opuścił
Jego ręce się szeroko rozwarły
Bez skarg
Ponieważ wierzył w szczęście
Innych
Ponieważ stale powtarzał
„Kocham" we wszystkich odcieniach
Swej matce, swej opiekunce
Towarzyszce i sojuszniczce
Życiu
Poszedł bić się
Przeciwko dręczycielom
Przeciwko pojęciu wrogości

Oto cała odwaga
Oto wielkość ludu

przełożyła E. F.

EDWARD SZYMAŃSKI

PEAN KU CZCI GENERAŁA FRANCO

napisany w 76-tą rocznicę powstania styczniowego

CZĘŚĆ PIERWSZA, SKIEROWANA DO PANA CENZORA

Nim się przed bohaterem ukorzę,
nim powstańców hiszpańskich rozsławię,
proszę pana, panie cenzorze:
niech pan wiersz ten oszczędzi łaskawie.
Już wodzowi junty
gazety
poświęciły tysiące wierszy,
a w poezji polskiej, niestety,
wiersz ten będzie dopiero pierwszy.
I to będzie pańska zasługa,
gdy pieśń w śpiżu kuć
będzie mi wolno —
jak nam Polska szeroka i długa,
i jak święta w niej walka o wolność.

CZĘŚĆ DRUGA, POŚWIĘCONA GENERAŁOWI FRANCO

Soldados!
La patria nos llama a la lid.
El orbe nos admire
y en nosotros mire
los hijos de Cyd.

(z hymnu Riego)

Za wolność polskich, węgierskich ziem
Traugutt, Sowiński, Kościuszko, Bem —
a pan
o wolność Hiszpanii.

A wróg ją jakiż
zdławił w powrozach,
nóż w plecy wbiwszy znienacka?
Pruskie żołdaki,
moskiewski kozak,
czy Targowica magnacka?

W boju o wolność męczeńskich ziem
wszyscy ponieśli klęski:
Traugutt, Sowiński, Kościuszko, Bem
A pan — generale — zwycięski.

Im chłopskie kosy
i motłoch bosy
pod wiatr armatnich dymów.
A panu
knechtów i broni dosyć
i błogosławieństwo Rzymu.

I o kim pamięć, i komu pieśń,
i kto w jaśniejszej glorii,
gdy los was stawi piersią o pierś
na wielkim sądzie historii?

Za lat miliony,
za lat tysiące,
gdy po nas dzień nastanie,
dźwięczne nad dzwony,
nad krew płonące
żyć będzie słowo:
powstaniec.

Kościuszko w plen, Traugutt na stryk,
Sowiński padł na szańcu.
A pana w pysk nie strzelił nikt,
wodzu hiszpańskich „p o w s t a ń c ó w".

Za drachm trzydzieści
mógł Judasz służyć,
byli i tańsi: za krajcar.
A pośród zdrajców
małych i dużych
pan jest naczelny zdrajca.

Nocą styczniową pisząc ten hymn
po polsku, w wolnej Warszawie,
nie panu pluję w pysk, ale tym,
co pańskiej merdają sławie.

Potem i pianą
ociekli w tańcu,
lecz i krwią nawet nie zgaszą
słów na sztandarze
polskich powstańców:
za naszą wolność i waszą.

(Wiersz odnaleziony po wojnie w papierach zamordowanego podczas okupacji poety)

JAN PARANDOWSKI

TAJEMNICE RZEMIOSŁA

Z pewnością były takie odległe epoki, kiedy „szło się na poetę", jak dziś „idzie się na księdza", i tkwiło w tym nawet głębsze podobieństwo, gdyż służba poety miała związek z religią. Podobnie mogło się dziać w szkołach aojdów, do których wstępowali obiecujący młodzieńcy, aby uczyć się tradycyjnego języka i wiersza, poznawać uświęcone zwroty, porównania, epitety. Lecz poza tak wyjątkowymi wypadkami, nigdy nie było właściwej szkoły sztuki pisarskiej i jak dalece sama myśl o tym jest odrażająca mogłem się przekonać, gdy przed kilkunastu laty ogłosiłem projekt takiej szkoły, czy to jako sekcji w Akademii Sztuk Pięknych czy też jako osobnej katedry uniwersyteckiej. Z różnych stron odezwały się protesty przeciw takiemu zamachowi na przyrodzoną swobodę rozwoju przyszłych pisarzy.

Jest to rzeczywiście mocno ugruntowana tradycja. Pisarze zawsze wychowywali się sami. Nie było u nich nawet tego, co w średniowiecznym lub renesansowym malarstwie, gdzie uczeń pracował pod okiem mistrza, czyścił pędzle, przygotowywał deskę lub płótno, dawano mu do wykonania drobne ornamenty, póki nie dorósł do ważniejszych tematów, podglądał przez dziurkę od klucza, o ile jej mistrz nie zatkał, gdy ów zabierał się do wielkiej tajemnicy mieszania farb, i wreszcie, jak motyl obsypany pyłkiem kwiatów, odlatywał we własny świat, aby się powoli otrząsać ze stylu i maniery nauczyciela albo też pozostać mu wiernym do końca. Pisarze nie tylko wychowywali się sami, ale najczęściej wbrew otoczeniu, z którym musieli walczyć o sam wybór swego zawodu. Jeśli to prawda, że ojciec Lafontaine'a życzył sobie, by syn jego został poetą, ten zacny ojciec jest chyba wyjątkiem. Owidiusz przekazał nam sąd wszystkich rodziców w tym ustępie swej poetyckiej autobiografii, która do dziś zachowała poświst rózgi i skomlenie chłopięcego poety.

Lecz choćby nawet nie utrudniano mu życia, nikt przyszłego pisarza nie wprowadza do sekretów jego rzemiosła. Musi je poznać sam, zdobyć własnym domysłem, instynktem, szukać swej drogi po omacku, błądzić, odkrywać nieznane ścieżki (zazwyczaj srodze udeptane przez długie pokolenia), przepadać w gąszczu lub wychodzić na drogę, wiodącą do dzieła i sławy. Któż ze starszych pisarzy nie zna tego młodego człowieka, który wchodzi nieśmiało, z teką wypchaną rękopisami, ręce mu drżą, gdy w niej grzebie, aby wyłuskać to co najlepsze, to co najważniejsze, to w czym pokłada wszystkie nadzieje? Różnie się kończą takie wizyty albo wzajemnym rozczarowaniem albo — arcyrzadko i jak szczęśliwie! — radosnym zdziwieniem, zażyłością, przyjaźnią.

Dzieje takiego stosunku można śledzić przez szereg lat u Eckermanna. W czerwcowy dzień 1823 roku zjawił się on u Goethego, przynosząc mu swój rękopis. Stary wyga odrazu spostrzegł, że nie ma tu materiału na wybitną indywidualność pisarską i nie odmawiając mu rad i zachęty, zadając mu nawet różne ćwiczenia poetyckie, przywiązał go do siebie na resztę swego życia i zapewnił mu nieśmiertelność u swego boku, jako autorowi nieocenionych „Rozmów z Goethem". Eckermann ani przez chwilę nie wyrzekał się swej twórczości, wciąż mu się zdawało, że idzie coraz śmielej naprzód, gdy tymczasem potężna wola Olimpijczyka trzymała go w przeznaczeniu, które dlań odkryła. Eckermann jest wyjątkową przygodą, lecz w ów czerwcowy dzień jest to tylko młody wędrowiec z rękopisami w kieszeni lub pod pachą, symboliczna postać tułactwa nierozwiniętych talentów.

Jedyną wyraźną próbą pouczania nowych pokoleń literackich były poetyki czy stylistyki, szkoły retoryki u starożytnych, gdzie t. zw. deklamacje przerabiały rozmaite wątki, często godne sensacyjnych romansów i ponurych dramatów, albo wykłady z teorii wymowy, które utrzymały się jeszcze w wieku XIX, a w formie szczątkowej przetrwały jako ćwiczenia w kompozycji, w układaniu wierszy, wreszcie w postaci najskromniejszej jako zadania z języka ojczystego. Jeśli dawne szkoły retoryki w istocie zajmowały się wielu poważnymi zagadnieniami z zakresu sztuki pisarskiej, to co z nich dziś zostało nie ma zazwyczaj dla pisarza większej wartości. Równie zbyteczne są t. zw. stylistyki. Najczęściej układają je poczciwi nudziarze, pedanci, znajdujący zadowolenie w tym, że mogą rozmieścić z odpowiednimi etykietami w osobnych przegródkach wszelkie rodzaje stylu i środków stylistycznych, używanych w literaturze, a na które oni patrzą jak na motyle na szpilkach. We Francji zasłynął Albalat, autor różnych „l'art d'écrire", postać molierowska, którą się widzi w otoczeniu Monsieur Jourdain, nieoceniony Albalat, próbujący jeszcze uzwięźlić styl Prospera Mérimée!

Inaczej poetyki. Noszą one wielkie lub czcigodne nazwiska i należą do literatury. „Poetyka" Arystotelesa, Horacego list do Pizonów, traktat o wzniosłości, przypisywany Longinowi, „L'art poétique" Boileau, „Sztuka rymotwórcza" Dmochowskiego — oto parę słupów milowych na drodze, którą poezja chodziła do szkoły. Lecz, zwyczajem wszystkich łobuzów, raz po raz wymykała się na wagary, by w rozkosznym poczuciu swobody znaleźć nowe natchnienia, nowych mistrzów, nowe piękno. Nauczyciele mieli jej to za złe i nieraz powtarzały się gorszące nieporozumienia, tak dobrze znane z okresu walki klasyków i romantyków.

Szkoła nie przewiduje nowej poezji, tak jak nie umie się spodziewać nowych odkryć naukowych. Każda „sztuka poetycka" składa się z przepisów, zaczerpniętych z arcydzieł poprzednich epok, omawia stan rzeczy przeszły lub istniejący, niepodobna znaleźć w niej zarysu nowych gatunków literackich lub nieznanych form wiersza. Poetyki poruszają się w świecie zamkniętym. Ich przykazania i przestrogi opierają się na autorytetach, na wypróbowanej tradycji, zasłaniają się pewnymi sądami estetycznymi. Źródła tych sądów mogą być rozmaite. Albo spostrzeżenia z zakresu psychologii uczuć i wzruszeń albo pojęcia, stworzone pod wpływem obyczajów, wreszcie skłonności, uprzedzenia, przesądy danej epoki.

Z wyjątkiem Arystotelesa, który był badaczem i opisywał zjawiska literackie tak jak meteorologiczne, szukając w nich praw, jakie same sobie stworzyły, inni autorzy poetyk byli poetami i wypowiadali w nich własne credo. Ten zwyczaj jest i dziś żywy, Paul Claudel dał również własną „Sztukę poetycką", bardzo dziwną. Horacego „De arte poetica" to relikwiarz kultury i myśli doskonałego artysty. Swoich klasyków czytał nie tylko dla rozkoszy artystycznej, ale i po to, by podpatrzeć ich środki i chwyty, zalety i błędy, i nieomal za każdym jego sądem kryło się osobiste doświadczenie. Zawsze można się u niego wiele nauczyć, nie traktując go dogmatycznie, a przede wszystkim wziąć to co bije z każdego wiersza: szacunek dla pracy twórczej i dążenie do doskonałości. On bodaj pierwszy wymawiał to słowo z takim naciskiem, bodaj pierwszy żądał tyle uwagi, pracy, rzetelności od pisarza i z taką troską pochylał się nad słowem ponieważ kochał się w jego dźwięku, we wszystkim co stanowi odrębność wyrazu w gospodarstwie mowy ludzkiej. Razem z Arystotelesem stał się prawodawcą pokoleń, w jego cieniu szli inni autorzy poetyk, twórcy średniej miary, którym wiara w prawidła zastępowała naturalny polot.

Chińskiego boga literatury przedstawiają w postaci wąsatego mentora z podniesionym do góry wskazującym palcem, jakby przestrzegał i karcił. Mógłby on być bóstwem pewnych okresów ortodoksji poetyckiej i na Zachodzie. Z poetyk uczono się nie tylko zasad ogólnych, ale i wielu szczegółów: przyswajało się gotowe zwroty, obrazy, porównania. Obwarowana prawidłami, poezja była podobna do tańca lub gry w szachy. Przyjmowano i szanowano jej reguły, nie sądząc, by to krępowało indywidualność lub utrudniało rozwinięcie osobistych zalet polotu, wdzięku. Przeciwnie. Wydawało się, że mistrzostwo, pomysłowość, a nawet świeżość dopiero w tych warunkach naprawdę tryumfują i że tylko na tej gładkiej arenie mierne zdolności giną, podcięte banałem i bezdusznym naśladownictwem. Trzymano się zasady, odrzuconej przez Ewangelię, i nalewano młode wino do starych stągwi. Chcąc ożywić spracowane, zużyte formy trzeba było mieć coś do powiedzenia — niemałe żądanie, jeśli się zważy ubóstwo myśli, towarzyszące buntowniczym i rozwichrzonym szkołom poetyckim, których tyle w naszych czasach zczezło na złośliwą anemię.

Romantyzm zniósł dawne prawodawstwo. Poetyki stały się zabytkami. Zastąpiły je programy i manifesty, które zburzyły niemal wszystko co wypracował *ancien régime* poetycki. Trochę ładu utrzymało się w wersyfikacji. Budowa zwrotki, rytm, liczba zgłosek, rymy przestrzegały pewnej tradycji, sonet zawsze jeszcze miał czternaście wierszy. Lecz w końcu okazało się, że można być poetą, nie uznając żadnej z dziedzicznych cech utworu poetyckiego. W krótkim panowaniu formizmu widywało się wiersze, drukowane na przemian pionowo i poprzecznie, tak że trudno było się oprzeć wrażeniu, że tu połowa pracy twórczej została zepchnięta na zmęczone plecy zecera. Dziś co raz częściej otrzymujemy utwory rzekomo poetyckie, które, gdyby je wydrukować *in continuo* nie różniłyby się niczym od patetycznych artykułów czy odezw, z jakimi sąsiadują w czasopismach. Ostatnio we Francji było trochę zabawy z grupą letrystów, których wiersze wyglądają, jakby ktoś na chybił trafił pozbierał rozrzuconą kasztę zecerską.

Smutnym przywilejem naszych późnych czasów jest to, że każde głupstwo znajduje swych poprzedników w historii. Tak pod koniec starożytności bawiono się układaniem „lustrzanych" poematów, gdzie jedna połowa odpowiadała drugiej jak odbicie w lustrze, albo dawano wierszom kształt jakiejś rzeczy, np. jajka, siekiery, albo znów jak Pentadius zanudzano swymi „versus echoici", robiąc z całym przekonaniem to, co Kochanowski zrobił raz dla żartu w swych „Rakach".

Jak się okazuje wolność, przyniesiona przez romantyzm i która była źródłem siły, wyrodziła się w samowolę, która jest źródłem słabości. Gdzie wszystkie drzwi otwarte, lada wiatr przynosi kurz i śmiecie. Młody człowiek, który chce zostać pisarzem, czuje się, jak kurek na kościele, o ile nie jest bardzo silną indywidualnością, co, jak wiadomo, zdarza się rzadko. Ulega więc wszystkim prądom najchętniej ostatnim i swój najżywszy entuzjazm oddaje jakiemuś błazeństwu.

Nie ma literatury bez powagi. Kto bierze słowo, aby wyrażać w nim swą duszę albo duszę tej zbiorowości, której ma służyć, czy to będzie klasa, naród, czy ludzkość, nie może posługiwać się słowem z niefrasobliwością kuglarza. Przekonanie, że powaga obowiązuje tych, co głoszą jakieś hasła czy idee, nie zaś tych, co mają na celu samą tylko sztukę, może się zrodzić w głowie pustej i jałowej. Właśnie u kapłanów sztuki, u tych surowych wyznawców, zamkniętych dla świata i chwili bieżącej, a oddanych kontemplacji piękna widać najwyższą powagę nawet w błahostkach. Nikt sumienniej od nich nie waży słowa, zanim je położy w miejscu, z którego już niepodobna go usunąć. Trawi ich lęk, że nie wydobyli ze słów ich pełnego blasku, że nie odgadli całkowitej tajemnicy dźwięków, tak samo jak innych, mających rzucić ludziom swą myśl, swój obraz świata, swoją interpretację człowieka ściga niepokój, czy słowa, których użyli dla tych wielkich celów, udźwigną powierzone im zadanie.

Dopóki istnieć będzie literatura, jej twórcy zawsze będą posłuszni pewnej tradycji i zanim zakreślą sobie własne mety, rozważą wpierw trud swoich poprzedników i rozejrzą się w dostępnych sobie środkach. Nikt dziś nie wierzy w dziewicze literatury i samorodne talenty, których, jak proroka Amosa, mówić uczyły gwiazdy. Tylko w bardzo odległych epokach, których źródeł nie znamy, można złożyć marzenia o twórcach nie obarczonych niczyim spadkiem. Tak samo naiwny jest pogląd, że da się zdobyć sztukę pisarską bez rzetelnego wysiłku. Ten pogląd znajduje posłuch tylko dzięki temu, że u szerokiej publiczności autorzy marnych książek uchodzą za przedstawicieli literatury na równi z pisarzami.

Do naczelnych spraw w wychowaniu pisarza należy nauka i wiedza o słowie, poznanie i przemyślenie najgłębsze języka, w którym się tworzy. Nie jest to żadna nowina w życiu literackim tych paru tysięcy lat, jakie ono sobie liczy. Nawet tam, gdzie wszystkie nasze źródła milczą, np. w epoce Homera, sam materiał językowy daje nam świadectwo poszukiwań i studiów — język i styl epopei jest tworem kunsztownym, dziełem umiejętnego i starannego wyboru pośród różnorodnych możliwości. Ludzie, którzy go tworzyli, rozważali zalety dźwięków, form, zwrotów, branych z różnych dialektów. Dante w książce „De vulgari eloquentia" sam podał źródła swej wiedzy o języku, z którego miał uczynić język literacki swojego narodu — roztrząsał zalety i ułomności różnych narzeczy włoskich, sam jeden dokonał pracy słownikarzy, semantyków i gramatyków, i był to dla niego wstęp do własnej twórczości.

Vittorio Alfieri może być przykładem, jak razem z talentem budzi się miłość do języka. Arystokrata, odebrał tradycyjne wychowanie, nie mając nic w zysku oprócz doskonałej francuszczyzny i mistrzowskiej jazdy konnej. Wystarczyło mu to, dopóki się nie domyślał, że będzie kiedyś poetą. Uświadomiwszy sobie swe powołanie, z namiętnością i rozkoszą wziął się do studium języka. Rozczytywał się w poezji trecenta, w prozie XV i XVI w., zajmował się gramatyką, dialektologią. Uczył się łaciny a nawet greki. To wszystko było mu niezbędne do budowy swego świata poetyckiego.

Nie ma powodu wyliczać więcej przykładów, gdyż są nimi wszystkie znakomite nazwiska w literaturze. U nas Żeromski był wzorem tego troskliwego obcowania z językiem poprzez nieustanne poszukiwania i badania. Gdyby nie mówił o tym rozwój jego prozy, zaświadczyłby najdobitniej „Snobizm i postęp", jedyne tego rodzaju dzieło w naszej literaturze, albowiem żaden z pisarzy polskich nie zajął się nigdy tak szczegółowym opracowaniem zagadnień językowych w związku z aktualną problematyką literacką i własnym doświadczeniem twórczym. Tam również padły słuszne i surowe słowa o dziwactwach, bezmyślności, ignorancji wszelkiego rodzaju błaznów literatury.

Dla tych co piszą w języku rodzinnym wszelka o nim wiedza wydaje się często zbyteczna. I jeśli są dość zuchwali powołują się na takich samych nieuków, którzy już gdzieś i kiedyś stworzyli piękne dzieła, nie obarczając się kłopotami lingwistycznymi. Lecz to im tylko śnią się takie przypadki. Prawda, że Szekspir nie wertował słowników, by zdobyć największe królestwo słów, jakie zna literatura europejska, ale, pomijając fakt — chyba nie błahy — że był Szekspirem, robił wszystko, aby zebrać to nieporównane bogactwo. Była to praca pszczoły, wędrowna i swobodna, ale uparta i nieustanna. Wieś i miasto, okręt i oberża, las i pole, dwór i ulica dawały mu swoje osobliwości językowe, w których jego nieporównany instynkt dokonywał wyboru. Ta szkoła jest dostępna każdemu, kształcili się w niej pisarze wszystkich czasów. Dziś została zaniedbana, gdyż od stu lat, z nielicznymi wyjątkami, pisarze prowadzą życie zamknięte, między swoją pracownią a kawiarnią. Lecz w żadnej epoce nie mieli tak łatwych i licznych środków zdobycia tego, za czym niegdyś trzeba się było uganiać. Słowniki, doskonałe wydania klasyków, każdy może mieć pod ręką.

Mało kto z tego korzysta. Jeszcze rzadziej widać pracę nad rozpoznaniem struktury języka, w którym się tworzy, jego rozwoju, osobnej urody. Niekiedy ma się wrażenie, jakby autor z przykrością znosił język, narzucony mu losem, kiedy indziej odczuwa się zupełną obojętność: mógłby przy zmienionych okolicznościach posługiwać się każdym innym. Jak zaś rzecz wygląda u rasowych pisarzy, prawdziwych artystów słowa, świadczy przykład Conrada. Był Polakiem, po angielsku nauczył się późno, między 18 a 20 rokiem życia, zawsze lepiej i swobodniej mówił po francusku. W liście do Galsworthy'ego (ten sam zwrot powtarza się w liście do Wellsa) uskarżał się na trudności, jakie musi zwalczać pisząc w obcym języku. A jednocześnie ten człowiek powiedział: „Nie było dla mnie wyboru — gdybym nie pisał po angielsku, nie pisałbym wcale". Tylko miłość, zakochanie się w tej mowie może wytłumaczyć to zjawisko. I tylko miłość może sprawić cud, że przybysz z dalekiego kraju stanie się jednym z najświetniejszych stylistów w ojczyźnie Szekspira...

Odłożyłem pióro i dla wytchnienia sięgnąłem po świeże czasopismo. W ciągu godziny przeczytałem nowelę, fragment powieści, kilka artykułów. Co parę zdań spotykałem stare zwroty, jak: „sala była zalana p o t o k a m i światła", albo „na ulicy p a n o w a ł ruch nadzwyczajny". Potem znów: „s f o r m u ł o w a ł własny pułk", a dalej: „takie p o d e j ś c i e staje się w y r o z u m i a ł e na podłożu narodowej świadomości". I jeszcze w zacytowanym przekładzie z rosyjskiego: „wyrósł jak dąb wśród miałkiego lasu". Wreszcie porównanie: „jak Syzyf toczący swą beczkę". Nie zliczyć zaś jak często wtrącają się owe „rzeczywistości", „bloki", „fronty", „płaszczyzny", „platformy", „odcinki", pomieszane ze staroświeckim i po prostu rozrzewniającym „polem" („pracuje na polu sztuki") i z równie omszałą, sielską „dziedziną" i „niwą". Raz dała mi chwilę oszołomienia taka peryfraza: „szedł do skroni ze stalowym ratunkiem" (rewolwer!). Aż mi się wierzyć nie chce, ale mam prawie pewność, że już to gdzieś czytałem i że ta osobliwość jest plagiatem.

Cóż znaczą te przykłady? Poza ostatnim, nie ma wśród nich dziwolągów, jakie cytuje się dla postrachu w książce o błędach językowych. Nie są one również wzięte ani z gazet ani z broszur, dostarczających tak łatwych zdobyczy. Pochodzą od literatów. Z pozoru wyglądają niewinnie: trudne do zauważenia plamki, po których jednak poznaje się chorobę. Organizm naszego języka literackiego nie jest zdrowy. Niby pasorzyty obsiadły go niezliczone zwroty, które się już wysłużyły i którym tylko lenistwo piszących nie pozwala odejść w stan spoczynku. Stępienie słuchu dopuszcza takie zlepki dźwiękowe, jak „trwa ma miłość", jednocześnie zaś odbiera zdolność utrzymania w logicznym i gramatycznym porządku zdań nieco obszerniejszych, o kilku członach. Z tej samej przyczyny chwieją się prefiksy, jak w cytowanym wyżej „wyrozumiałe" zamiast „zrozumiałe".

Poddanie się żargonowi dziennikarskiemu jest może największą klęską. Nic tak nie upokarza pracy pisarskiej jak bezmyślne przyjmowanie natrętnych słów z bieżącej publicystyki. To przecież pisarz ma obowiązek oddać swą myśl z całą świeżością i pełnią wyrazu i nie wolno mu wypuszczać jej w świat w postrzępionych łachmanach.

Dziś jego obowiązek jest szczególnie doniosły. Właśnie w okresie „sloganów" i owych słówek, które kładzie się na papier automatycznie, jak urzędnik pocztowy przybija pieczątkę na tysiącach listów, właśnie teraz pisarz jest bardziej niż kiedykolwiek powołany do oddawania pojęć i przedmiotów ich właściwymi nazwami.

W tej garstce przykładów zebranych po godzinie lektury jest oczywiście i grzech złego tłumaczenia, bo jakżeby mogło się bez niego obejść! Lecz śpieszno mi zająć się owym Syzyfem, który najwidoczniej porzucił swój głaz, aby Danaidom ukraść ich beczkę. Powiecie że to drobiazg? Z pewnością, ale nie jest drobiazgiem fakt że owego Syzyfa możnaby umieścić w tytule zbioru takich potknięć: z produkcji jednego roku dałoby się ułożyć niemały tomik pomyłek z historii, literatury, sztuki, geografii, wszystkich nauk. A cóż za kolekcja błędnych cytat, fałszywych dat przekręconych nazwisk (w tej mojej krótkiej lekturze spotkałem tak napisane nazwisko wielkiego nowelisty: Mopassan — gdybyż to był błąd drukarski!

We wszystkich okresach które doświadczały obniżania się kultury, jednym z pierwszych objawów było pomieszanie pojęć, nazw, terminów, chronologii itp. Z początku jest to niepewność, niedokładność, następnie coraz śmielsze ignorowanie ścisłych wiadomości, wreszcie chaos, pełny niedorzeczności, zabobonów, chimer. Można ten przebieg śledzić na przełomie antyku i średniowiecza albo z bliższego dystansu w naszym wieku XVII. Poprzednia epoka, wzorem wszystkich epok wysokiej kultury, stara się o precyzję w każdym, choćby najbłahszym szczególe. O najlepszą, jaka jest dostępna, wiedzę o każdej rzeczy, o której się pisze, a w parę pokoleń później nikt się już o to nie troszczy, i w końcu Benedykt Chmielowski zacznie układać swe absurdalne „Nowe Ateny".

Rzecz osobliwa: z obniżeniem poziomu wiedzy idzie w parze chęć popisywania się erudycją Stanisław Orzechowski, który pisał klasyczną łaciną, stronił od niej w swojej pysznej polszczyźnie, gdy tymczasem literaci sascy każde zdanie szpilkowali frazesami z podręczników łacińskich. To można by porównać z balastem obcych wyrazów, tak skwapliwie cisnących się dziś pod pióro, zwłaszcza u tych, których najczęściej zawodzi pamięć i należyte rozumienie wyrazu. Oczywiście, nie ma mowy o wyrzeczeniu się słów cudzoziemskiego pochodzenia. To było dostępne tylko językowi greckiemu, który sam stworzył sobie wszystkie pojęcia, a i on nie był wolny od naleciałości w zakresie handlu czy rzemiosł. Już łacina nie mogła się obejść bez terminologii greckiej, a w erze nowożytnej absolutna czystość języka jest nie do pomyślenia. W literaturze pięknej nie idzie o samą wygodę. Obcy wyraz, nawet, jeśli ma odpowiednik polski, znajduje często swe uzasadnienie, gdyż ma inną wartość dźwiękową i uczuciową, choćby nie przynosił żadnej różnicy w samym znaczeniu. Purysta jest często dziwakiem albo maniakiem, a zawsze nudziarzem. Nie wydaje mi się, by w liczbie purystów można było znaleźć naprawdę wybitnego pisarza.

Lecz nic nie usprawiedliwia dokuczliwego natręctwa, z jakim obce wyrazy (często przekręcone lub opacznie użyte) wciskają się do dzisiejszej prozy. To wraca saskie barbarzyństwo w nowym przebraniu.

Te wszystkie zagadnienia należą do ekonomii środków pisarskich. Każdy musi ją sobie sam stworzyć, zgodnie ze swoim talentem, usposobieniem, rodzajem pracy. U wielkich pisarzy nigdy się to nie kończy, chyba zgrzybiałość pozbawia ich czujności oraz ochoty do nowych wysiłków. Pisarz naprawdę dzielny lęka się, gdy nie spotyka przeszkód. Gdy mu ich nie nakłada rodzaj literacki, który obrał (a dziś każdy rodzaj ma rozluźnione obyczaje) gotów zawsze je sobie sam nałożyć. Tak pracował Paul Valéry, narzucając sobie różne trudności, nie wyłączając z góry zamierzonej liczby wierszy lub słów. Prawidło trzech jedności w dramacie było dokuczliwe i zostało ośmieszone przez romantyków, ale Ibsen nieraz do niego powracał, tak jak ulegał mu Szekspir w „Burzy", w swoim ostatnim dziele. Często podaje się w wątpliwość jakoby brak wszelkich reguł w powieści był zaletą. Lecz gdzie nie ma reguł ani prawideł ani zasad, tam jednak istnieje to co można nazwać taktem, subtelnym wyczuciem właściwych granic i właściwego wyrazu.

Zdarza się słyszeć jak ten lub ów autor mówi z dumą: moje książki — to nie literatura! Jeśli jest uczonym filozofem, politykiem, chce tym oświadczeniem oddalić od siebie zarzut, że zmyśla zamiast głosić prawdę. Lecz, jeśli to mówi powieściopisarz lub poeta, ma się mętne pojęcie, że on broni się przeciw czemuś co rzekomo obniża twór wyobraźni, np. przeciw pracy przeciw stylowi, zwłaszcza przeciw doskonałości, która wielu razi. Tak samo budzi niechęć słowo: rzemiosło, mimo to znalazło się w tytule tego szkicu. U podstaw każdej sztuki jest rzemiosło, i tylko ten, kto nigdy nie będzie mistrzem nie chce tego uznać ani się tego nauczyć. Paul Valéry przez całe życie badał tajemnice rzemiosła literackiego, w końcu dano mu w uniwersytecie katedrę poetyki, gdzie roztrząsał najmniejsze drobiazgi. Okazał przy tym, jak rozległą wiedzę, jak głęboką kulturę zdobył w swym życiu, oddanym pracy i myśli. Lecz zagadnienie kultury umysłowej należy już do innego rozdziału rzeczy o sztuce pisarskiej.

Jan Parandowski

Niedyskretne wspomnienia

Drastyczna rozmowa z Mereżkowskim

Emigracyjny pisarz rosyjski, Dymitr Mereżkowski, bawiąc w r. 1921 w Warszawie, przed udaniem się na emigrację do Francji, złożył dyrekcji Teatru Narodowego rękopis swej tragedii „Carewicz Aleksy" — będącej sceniczną przeróbką trzeciej części jego słynnej trylogii „Zmartwychwstali bogowie" („Julian Apostata" — „Leonardo da Vinci" — „Piotr i Aleksy"). Dyrekcja powierzyła mi przełożenie tej sztuki.

W związku z wystawieniem sztuki poznałem się z jej autorem, w podwójnym charakterze, tłumacza i generalnego sekretarza Teatrów Miejskich m. st. Warszawy.

W rozmowie, jaka się między nami odbyła w drugorzędnym hotelu Krakowskim na Bielańskiej, gdzie mieszkał Mereżkowski, wspomniałem, że znana firma wydawnicza „Biblioteka Polska" chce wydać mój przekład w książce i w tym celu zwróci się do niego o autoryzację.

Na to Mereżkowski (wciąż bardzo ponury i mało uprzejmy w obejściu):

— Jak panu zapewne wiadomo, „Carewicz" nie był ani grany w Rosji, ani nie ukazał się dotychczas w druku po rosyjsku, gdyż tam dzieła moje są zakazane. Choć rad jestem, że pański przekład ukaże się w książce, rozumie pan, że zależy mi przede wszystkim na wydaniu rosyjskim.

Ja: — Rozumiem to doskonale, ale jak pan to sobie wyobraża tu, na emigracji w Polsce. O ile mi wiadomo, nie ma w tej chwili w Warszawie żadnego rosyjskiego wydawnictwa książek.

Mereżkowski (apodyktycznie): — Wyobrażam to sobie bardzo prosto. „Carewicza" wyda w oryginale jakaś poważna firma wydawnicza polska. Sądzę, że właśnie pan, jako tłumacz tego dzieła, podejmie się pośrednictwa. (Po chwili) — Naprzykład u Gebethnera i Wolffa. Byłem w tej księgarni. Widać, duża firma. Powinni skorzystać z okazji.

Ja: — Chętnie pomógłbym panu w tej sprawie. Niestety, jest przeszkoda nie do zwalczenia. Gebethner i Wolff wydaje utwory literackie tylko po polsku. Jak zresztą i każda inna firma wydawnicza w Polsce.

Mereżkowski (z kwaśno - sarkastycznym uśmiechem): — Oczeń stranno (bardzo dziwne).

Ja (w odpowiedzi na ten uśmiech, po chwili, poważnie). — Czy sądzi pan, że gdyby przed laty np. Sienkiewicz zwrócił się do rosyjskiej firmy O. Wolff w Petersburgu z propozycją wydania po polsku powiedzmy „Quo Vadis" — nie spotkałby się ze zdumieniem?...

Mereżkowski (chmurnie i z urazą): — Nu, eto sowsiem drugoje dieło (o, to zupełnie co innego).

Ja (z wysilonym spokojem): — Nie dumaju. (Nie sądzę).

Autor „Carewicza" zmierzył mnie nienawistnym spojrzeniem. Widząc, że doskonale wytrzymuję jego zły wzrok, opuścił z pogardliwą rezygnacją powieki. W owej chwili, ze swoją zgniłą zielonkawą cerą, z wąskimi anemicznymi ustami nad prawie jeszcze czarną brodą, zrobił na mnie wrażenie fanatycznego mnicha.

Między nami zawisł stary posępny cień Prywiślińskiego kraju. Po długiej chwili przykrego milczenia, gdy Mereżkowski sięgnął po nie wiem już który z rzędu papieros do otwartego pudełka z całą ich setką (mnie nie częstując), zwekslowałem rozmowę na tory tekstów cerkiewno-słowiańskich w rękopisie „Carewicza", których uzgodnienie z odnośnymi polskimi tekstami biblijnymi w mym przekładzie było literackim celem mojej wizyty.

Wracając z niej, pomyślałem sobie, że zapewne Mereżkowski uznałby za całkiem naturalne pytanie, jakie mi kilkanaście lat przed tym zadała w pewnej nadmorskiej miejscowości w Bretanii „dama z towarzystwa", paryżanka, żona właściciela solidnej antykwarni w Paryżu.

Podczas rozmowy na tematy literackie (byłem wówczas dość młody, by się w ten sposób wygłupiać) w pewnej chwili ze szczerym zdumieniem, bynajmniej nie chcąc mnie tym dotknąć, powiedziała:

— „Mówiąc o tłumaczeniach dzieł Sienkiewicza na obce języki, wspomniał pan o przekładzie na rosyjski... Niebardzo rozumiem... To — Sienkiewicz nie pisze swych powieści po rosyjsku?".

Wacław Rogowicz

JANINA SKOWROŃSKA-FELDMANOWA

Sto lat temu w poezji ulotnej

Wiersze ulotne — to historia chwytana na gorąco. To swoisty reportaż nie krępowany wymaganiami stylu czy poziomu. Mieliśmy przykład tej samorodnej twórczości zaraz po powstaniu warszawskim. Zanim uznana i oficjalna poezja utrwaliła dla potomności zarówno wydarzenia, jak ich pierwszych, już po ulicach i podwórkach rozlegały się strofy domorosłych rapsodów, rozsławiające ten zbiorowy czyn bohaterstwa, cierpienia i tragedie szarego człowieka.

W całości nie stała ta poezja ulotna wysoko. Próżno szukalibyśmy w niej rymów wymyślnych czy form niezwykłych. Ale i wiersze ulotne poetów bezimiennych, lub tych, których nazwisk nie notują podręczniki literatury czy encyklopedie, posiadają nieocenioną wartość. Wypowiada się w nich nie tylko autor, ale również środowisko, lub cała grupa społeczna (inaczej nie byłyby kupowane czy czytane) i w tym leży ich nieprzemijająca wartość. Są one najdoskonalszym odbiciem nastroju chwili, na ich podstawie możemy odtworzyć sobie obraz epoki od strony szarego człowieka. A ponieważ opinia publiczna to jedna z tych wielkich potęg, które zrodził wiek XIX, poznanie jej w momentach wielkich zdarzeń historycznych jest nieodzowne dla historyka czy socjologa, artystyczna zaś jej forma wypowiedzi może być interesująca dla dzisiejszego twórcy.

Czy poezja ulotna 1848 r. odpowiada tym wymaganiom i warunkom? Odpowiedź może wypaść tylko twierdząco. Okres — jeden z najciekawszych w historii nowożytnej — stał się źródłem natchnienia dla wielu utworów, które tak jak zwycięskie chwilowe ideały i hasła przeminęły, niesione wichrem historii. Z ogromnego ich bogactwa, o którym mówią pamiętniki, zachowało się stosunkowo niewiele. Jednak i na tym materiale niełatwym do odszukania, niemożliwym do skompletowania, możemy doskonale śledzić wszystkie prądy i zainteresowania epoki, od wzlotów entuzjazmu aż po gorycz zawodu.

Pism ulotnych zebrałam około 70. Pochodzą one ze zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej, Akademii Umiejętności i archiwum miasta Krakowa. Znajdują się wśród nich druki nie notowane przez Estreichera. Do pism ulotnych zaliczam także kilka utworów wydobytych z rękopisów. Mianowicie w poszukiwaniu poezji i pieśni z 48 roku przejrzałam parę śpiewników i rodzaj sztambuchów, gdzie znalazłam trochę odpisów wierszy ulotnych z tego okresu. Te, których oryginałów drukowanych nie odnalazłam, niewątpliwie były takiego samego pochodzenia jak inne, tylko widocznie ulotki nie przechowały się, albo po prostu nie dotarłam do nich. Jest wśród nich cięty wierszyk na Mierosławskiego.

Wielki przełom polityczny, jaki rozegrał się na ziemiach zaborów austriackiego i pruskiego, stwarzał atmosferę szczególnie sprzyjającą rozwojowi ulotnej poezji. Zniesienie cenzury, naczelne hasło rewolucji we wszystkich jej ośrodkach, z chwilą realizacji, wywołało zjawisko masowego zapotrzebowania drukowanego słowa. Nie tylko powstawały nowe dzienniki i tygodniki, ale rozpierająca serce radość z powodu pierwszych osiągnięć rewolucji, zmuszała niejako do wypowiedzi. Siąkł taki chwytał za pióro, i wydawał te płody ducha, które nie zawsze znajdowały miejsce w prasie, krępowanej bądź co bądź pewnymi względami. Utwory te pojawiały się więc przeważnie w formie ulotnej, a fakt, że wśród nich ujrzały światło dzienne również wiersze Ujejskiego, Fola czy Anczyca, świadczy o tym, że w ten sposób wydany utwór rozchodził się wówczas szerzej i łatwiej, i to może było decydujące. Przemawiało za tym i to, że wiele tych wierszy sprzedawano na rzecz „więźniów wypuszczonych na wolność", „braci przybywających do kraju", lub po prostu na „biedne polskie rodziny". Niekiedy rozdawano je bezpłatnie, co zaznaczano na okładce. Jedne z tych ulotek, to pojedyncze kartki, inne zawierały ich dwie lub więcej. Niekiedy posiadały okładki, czasem zdobiły je symboliczne emblematy. Niektóre — jak Chorał Ujejskiego — miały po kilka wydań.

Miejscem wydania był najczęściej Lwów, poza tym Kraków, Stanisławów, Tarnów, Wiedeń. To uprzywilejowanie Lwowa ma swoje przyczyny. Miasto owe nie tylko że największej stosunkowo zażywało swobody, ale i cieszyło się nią najdłużej. Gdy w Krakowie armaty generała Castoglione już 26 kwietnia położyły koniec entuzjazmowi rewolucji, pogrążając miasto w smutku i wydając je na łup wzmożonego terroru wojska i biurokracji, Lwów miał zakosztować tego losu dopiero w listopadzie. Gdy krakowska Gwardia Narodowa nie mogła się doczekać pozwolenia na broń, we Lwowie od początku rewolucji można było oglądać ćwiczących się „Gwardiaków", uzbrojonych w stare karabiny, niegroźne dla wroga, ale niemniej stwarzające iluzję wojska narodowego. Następnie Lwów, jako stolica kraju i siedziba gubernatora posiadał liczne drukarnie, jak Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Instytutu Stauropigiańskiego, Potempy, Pillera czy inne rzadziej wymieniane na ulotkach, które mogły podołać temu wzmożonemu zamówieniu społecznemu zrodzonemu z nastroju chwili.

Zupełny niemal brak w dostępnych mi zbiorach ulotek drukowanych w Poznaniu, zdaje się potwierdzać stan faktyczny. Nie spotykałam bowiem w pamiętnikach wzmianek o tym jakoby miasto to należało w ulotkach, co było tak charakterystyczne dla Wiednia, Krakowa i Lwowa. Ale nie należy zapominać, że stosunki narodowościowe w Poznaniu były specjalnie trudne, a wprowadzony z powrotem po krótkim okresie stan oblężenia czynił całą wolność prasy, i nie tylko prasy, zupełnie iluzoryczną. Z terenem poznańskim łączy się powstanie hymnu, albo jak inne tytuły podają, Marszu Mierosławskiego, którego autorstwo jest ciekawym zagadnieniem.

Począwszy od pierwszych ulotek rozrzuconych w Poznańskiem, a charakteryzujących poczynania spisków przed wybuchem rewolucji w Wiedniu i Berlinie, ta poezja inteligencka lub pół i ćwierćinteligencka rejestruje wszystkie prądy i nastroje nurtujące ówczesne społeczeństwo.

Liczne stosunkowo wiersze malujące cierpienia więzienne przywodzą na pamięć przyczyny jego niedoli. Wypływa sprawa chłopskiej rabacji i oto 2 kwietnia pojawia się pierwsze wydane Chorału pt. „Bóg był i jest" z podpisem: „Ten śpiew prawdziwego patrioty podał do druku R. T..." A potem cały szereg utworów poruszających ten temat, szczególnie w ostrych, satyrycznych wierszach przeciw biurokracji, sprawczyni tej narodowej tragedii. Rodzi się nienawiść do szpiegów i zdrajców Ojczyzny, i utrwala ich typy, nawet nazwiska w złośliwych rysunkach i kapitalnych niekiedy „poematach". Braterstwo ludów manifestuje się nie tylko w nabożeństwach ku czci poległych na barykadach Wiednia i Berlina, ale i w tej literaturze, tak wrażliwej na każde poruszenie serca Gdy wiara w dobrą wolę rządów zaczęła upadać, aby się wreszcie załamać, piękny wiersz do Republikanów walczących na czerwcowych barykadach paryskich, czy apostrofa do króla pruskiego po masakrze majowej w Berlinie, świadczą o niewygasającej sympatii Polski dla proletariatu innych narodów. Wiersze o Gwardii Narodowej, szczególnie akademickiej, mieszają się z utworami dedykowanymi kobiecie polskiej. Sprawa słowiańska, żydowska, a nade wszystko chłopska wypływają przy czytaniu tych ulotek. Uszeregowane kartki wskrzeszają przeszłość, wywołują wizję ludzi i wydarzeń. Prowadzą nas przez ulice miast, wiodą na wzgórze śmierci Teofila Wiśniowskiego, bohatera 48 roku, aby za chwilę pokazać kłopoty prowincjusza, któremu nie chcą przyjąć w restauracjach papierowych pieniędzy. Radość, nadzieja, ból, ironia — taką jest ta poezja, której twórcy — poza nazwiskami Ujejskiego, Fola czy Anczyca utonęli w niepamięci. Bo któż dziś wspomni „gwardiaka" Rozumiełowskiego, czy więźnia tarnowskiego Wincentego Smagłowskiego, który „Boże coś Polskę" z małymi zmianami wydał pierwotnie jako swój utwór? Czy sonety „więźnia stanu ze Spilbergu uwolnionego", Henryka Szmitta, ktokolwiek przeczytał po 48 roku? Albo o śpiewach Szymańskiego wspomniał? Cóż dopiero mówić o tych wszystkich bezimiennych, lub jedynie kryptonimami podpisujących się twórcach?

Z całej tej poezji zostało w pamięci niewiele. Obok przejmującej pieśni „Boże Ojcze Twoje dzieci", która powstała po węgierskim finale „Wiosny Ludów", tylko Marsz Mierosławskiego przeszedł do wszystkich większych zbiorów pieśni narodowych jako poetyckie wspomnienie tej tak niezwykłej epoki. I dawniej, szczególnie w zaborze austriackim, gdy do tych skarbnic narodowego ducha młodzieży sięgała, ten marsz zwany Mierosławskiego, a zaczynający się od słów: „Do broni ludy!" był jedną z najpopularniejszych pieśni wśród tych, którym marzyła się Polska bez tytułów i przywilejów, powstająca z mogiły jako wynik jakiejś nowej fali braterstwa człowieka dla człowieka.

„Dom więźni Stanów" jest pierwszym utworem, który pokazał się bez cenzury, jak podaje informacja. Jest to ulotka, z kartą tytułową, na której widnieje napis: „Dom więźni Stanów" poniżej: „Dnia 20 marca 1848. Z tłoczni Piotra Pillera we Lwowie". U dołu tłustym drukiem: „Pierwszy odcisk z wolnej prasy"! Wewnątrz karty tytułowej: „Bezpłatnie rozdany"!

Musiał być nielada sensacją ten pierwszy niecenzurowany głos Polski. Rozchodził się na prowincję, bo znalazłam ten wiersz bez karty tytułowej, złożony i wysłany do Madame Julie de Studzieńska à Czernichowce par Tarnopol. Data stempla pocztowego Lemberg, 5 Apr. wskazuje datę wysłania dokumentu. O popularności utworu świadczy także fakt, iż Maciej Held, jeden z „poetów" ówczesnych, napisał jego uzupełnienie czy też odpowiedź pt. „Głos do Głosu „Dom więźni Stanów" drukowany: „Z wolnej prasy Instytutu Stauropigiańskiego". Znajdujemy w tym utworze taką zwrotkę:

Wtenczas Niemcy i Polacy
Spoją pobratymią dłoń,
Wszystkie ludzie współrodacy
Z spólnych czuć wyzioną woń.
— — — — — —
A duch zgody niechaj spoi
W jedność uczuć naszych fant,
Bóg zaś skinie z swych podwoi
Króluj błogo Ferdynand.

Po wybuchu radości z rewolucyjnych osiągnięć, nielicznych wprawdzie, ale napawających wielkimi nadziejami, poczęły się budzić refleksje nad najbliższą przeszłością. Wybucha nienawiść do szpiegów, prowokatorów, do bardziej zaangażowanych w sprawy rabacji biurokratów. Wśród kilku utworów odzwierciedlających te uczucia, soczystością, temperamentem i doborem „życzeń składanych szpiegom jako zdrajcom Ojczyzny" odznacza się załączony wiersz. Autorem jego jest nie kto inny, jak znany nam z innych „płodów ducha" „gwardiak" Grzegorz Rozumiełowski. Wybrałam tylko kilka wierszy odzwierciedlających pierwsze zachwyty i nastroje rewolucji w zaborze austriackim. Pozwalają one zorientować się trochę, czym żyła ulica w dniach marcowych przed stu laty.

Po okrzykach na cześć „króla" Ferdynanda, przyszły bomby i race kongrewskie nad polskimi miastami. Wzrosła nienawiść do biurokracji, pozostawała wiara w ludy. I trzeba było wielu jeszcze rozczarowań, aby wydrzeć z piersi tak gorzką ironią nabrzmiałe słowa, jak te, które głosił wiersz ulotny: „Zbawienna rada dla chorych na francuską sympatię". Znajduje się tam między innymi i taka apostrofa:

...z dawnej mody
Jak wieczne świadczą dowody
Już Polak nigdy w swej rozpaczy
względzie,
Mędrszym po szkodzie —
nie będzie,
Bo zawsze w cudze piosenki
uwierzy,
Ciągle go nadzieją cucą,
Że mu świat sercem krew cierpień
zmierzy
A ludy Ojczyznę wrócą!

Janina Skowrońska-Feldmanowa

Młodzież akademicka przy pogrzebie walecznych

uczniom szkół wiedeńskich poświęca M. G. Saphir

Z sztandarem skłonionym i bębnem zgłuszony
Ze łzami kroczymy w olbrzymich mar ślad,
Na marach tych leży sam wybór młodzieży
Walecznych, poległych we wiośnie swych lat;
Zginęli zwycięzcy, — usławili swą broń,
Bo rany okryły ich piersi i skroń!

I chociaż zasiali to bujne nasienie,
To przecież nie dla nich zakwitnął zbóż kłos
Wylali na siebie krwi swojej strumienie,
I kwiaty poświęceń i czynów swych głos;
Lecz żniwa plennego gdy nadszedł nam dar,
To sami snopami polegli śród mar!

A w chwilach ostatnich, w skonania już mękach
Widziano ich wszędzie śród murów i bram,
Broń tylko trzymali, w skurczonych już rękach,
Że nawet jej wydrzeć nie zdołał skon sam!
I rzekli nam jeszcze śmiertelnym już tchem:
„My byliśmy jutrzenką, a bądźcie wy dniem!"

I stało się słowo — spełnilim ich wolę!
Spełnilim już — wedle sumienia i sił;
I jeśli nie byli tu z nami na dole,
To okrzyk nasz dziś tam się do nich już wzbił!
Już wiedzą — i duch ich z niebieskich już stref
Jak bóstwo spogląda na świeżą ich krew.

Więc ziemię otwórzcie, i spuśćcie ich zwłoki!
Nie będziem je liczyć, bo na cóż liczba nam?
Wszak wszyscy jak jeden w grób idą głęboki
I myślą jak jeden tu przodem szli nam,
Jak jeden walczyli, i padli tu wraz,
I razem jak jeden żegnają tu nas!

Przy bębnie zgłuszonym, z sztandarem ku ziemi!
Ku ziemi pałasze! do nogi złóż broń!
Za wolność kto walczył, piersiami kto swem,
Zasłonił ojczyznę — do modłów się skłoń:
„O żyjcie! wy dzielni, dziś święci, zbóstwieni!
„Gdzie wawrzyn i palma się dla was zieleni!"

(Z niemieckiego przełożone przez Zygmunta Kaczkowskiego)
Z wolnej prasy Piotra Pillera we Lwowie

Przekleństwo szpiegom, jako zdrajcom Ojczyzny!

Zadrżyjcie szpiegi wytartego czoła,
Coście krew braci naszych sprzedawali!
Przekleństwo krzyczą wam ludy dokoła,
Przekleństwo wam kat na czole wypali!
Wyście podlejsi, niż wymówić można,
W waszej duszy brud, a w sercu zaś błoto,
Każdy z was czyha jak żmija dwunożna,
Wy ojca, matkę sprzedacie za złoto!
Przekleństwo wołam wam i waszej głowie!
Na wasze żony, wnuki albo dzieci,
Niech ile sylab w polskiej mamy mowie,
Tyle nieszczęścia codziennie tu zleci!
Obyście ręce po kości zrobili,
A nigdy chleba nawet nie spożyli!
Obyście dzień, noc, napoju pragnęli,
A w ustach waszych i octu nie mieli!
Aby wam trądem obsypało głowy,
A język skostniał od zdradnej wymowy!
Oby wam serce młotem w piersiach biło
A tysiąc furii po oczach się wiło!
Oby was co dzień wściekłe psy kąsali,
A ludzie nawet ratunku nie dali!
Oby wam stryczki na kark zarzucili,
A w łeb pałkami bez pardonu bili!
Oby przekupki wam do twarzy pluli,
A owad obgryzł nawet was z koszuli!
Obyście progów kościołów nie tknęli,
I odpuszczenia już nigdy nie mieli!
Obyście z miejsca w miejsce się tułali
A ognia, soli nawet nie dostali!
Obyście żebrząc i konając z nędzy,
Żółć tylko pili za własne pieniądze!
Oby was koty, psy a nawet świnie
Póty stąd szczwały, aż ostatni zginie.
Oby was kolka w każdym boku kłuła,
A krzywda Polski aż po kiszkach pruła!
Oby was wichry siekły tu z gradami,
A wy od zimna dzwonili zębami!
Obyście mierzwy na pościel nie mieli,
A nas w rozkoszy i szczęściu widzieli!
Oby wam w piersiach lęgły się padalce,
A nam od miodu aż spływali palce!
Oby wam solą oczy zasypali,
Gdy my Mazura będziemy hasali!
Oby kobiety, które was kochały,
Miotłą każdego jakby psa trzepały!
Oby was Żydzi jak hamana swego,
Wytopić chcieli aż do ostatniego!
Oby wam łotry, w nagrodę podłości,
W gardle ryb naszych postawały ości!
Obyście jaja nawet nie spożyli,
A na Wielkanoc czkawką się dławili!
Oby ze strachu wasze niecne ciało,
Żywcem na ziemię w kawałkach padało!
Oby gdy płakać zechce wasze oko,
Grób was wskazano pod ziemię głęboko:
A na tym grobie, który was pokryje,
Niechaj pokrzywa swe smrody rozwije!
I niechaj jeszcze, choć w grobie będziecie,
Piorun siarczysty wasze kości zgniecie!
Lecz dosyć tego, ulżę wam na chwilę,
Chyba w dodatku powiem jeszcze tyle:
Oby wam wszystkim zęby popróchniały,
A trupy nasze wciąż na oczach stały!
Obyście nigdy pokoju nie mieli
I szubienicę przed sobą widzieli!
A krew, którąście z naszych piersi ssali,
Niechaj w skonaniu wam sumienie spali
Aby w potomstwo, dla wiecznej nauki,
Szpiegów się strzegli nawet praprawnuki!
W końcu dodaje: jeżeli z was który,
Jeszcze nie zmieni swej podłej natury,
To tak go pióro moje poodznacza,
Że kto nie zechce palcem go namacał!
Macie czas, chociaż się nie oczyścicie,
Ale na litość może zasłużycie!

Lwów w maju 1848 **G. R.**

CO SŁYCHAC W ŚWIECIE?

Szwajcarzy wygrali. Włochy wciąż się żarzą
Więc też sobie na wsi różnie ludzie gwarzą.
W święty Wojciech właśnie wielkanocne święta,
Więc pewnikiem wojna będzie rozpoczęta.
I dana już z nieba przepowiednia taka,
Że nasi wypędzą wkrótce Austryjaka!
Jeno że nie wiedzieć, kiedy? Jak? co będzie?
Więc Stach do Krakowa jedzie po orędzie.
Tam najlepiej wiedzą, boć gazety piszą!
I od różnych ludzi, różnie też usłyszą.
Stach ma w mieście wiele ludu znajomego
Dowie się od tego, dowie od owego.
W noc dopiero wrócił. Już się też zebrali
Insi co się z miasta nowin spodziewali.
„Powiedzże nam Stachu co wieziesz z Krakowa?
„Pewno już po pismach jest o Polsce mowa?"
I siedli na ławie, i bardzo ciekawi,
Stach uradowany, tak do wszystkich prawi:
„Więc mnie posłuchajcie, bo dobrze się dzieje.
„I wnet wolność święta do Polski zawieje!
„W Krakowie po wszystkich gazetach czytali
„Że Francuzi króla już swego wygnali!
„Sam Naród rząd obrał! Jest Rzeczpospolita!
„I szczęście dla ludu całego zakwita!
„A iżby się króle nigdy nie wrócili,
„Francuzi tron króla na rynku spalili!
„Więc taka jest radość teraz między nimi,
„Jakiej już od wieków nie było na ziemi!
„Czyś panem, czyś chłopem, już się nie pytają,
„Braćmi zwą się wszyscy, i wszyscy ściskają!
„A teraz najlepsze! Więc dobrze słuchajcie
„I wszystko u siebie mądrze rozważajcie!
„We Francuzach dawno mamy przyjacieli
„I oni już nieraz pomoc nam dać chcieli
„Ale król przeszkadzał. Teraz rządzą sami,
„Więc się szczerze ująć chcą za Polakami!
„I już się tam zbierają polskie Legiony
„Co pewno niedługo przyciągną w te strony!
„I Francuzi swojej dodadzą nam siły
Żeby świętą Polskę wydobyć z mogiły!
„Więc oni tam z Francji tak kazali:
„Żebyśmy tu wszyscy w pogotowiu stali!
„A jak nam znać dadzą, więc zaraz do broni!
„Łączyć się pod znakiem orła i pogoni!
„Kto wtedy dla Polski szczęścia chce i żąda,
„Niech stanie w szeregu, na nic nie ogląda!
„Bój się krwawy zacznie! Więc kto tylko żyje"
„Niech stawa i wszędy nieprzyjaciół bije!
„Cóż wy teraz na to?" Stach się drugich pyta.
„Aby raz też przecie szczęście dla nas świta!
„Więc trzeba coś radzić kiedy sprawa święta!
„Aby potem nie stać jak głupie cielęta!
„Jabym na to radził by się rozbiec wszędzie,
„Rozpowiedzieć swoim jak to wkrótce będzie!
„Więc się naród prędzej na to przysposobi,
„W dzień kos naostrzy, w nocy lanc narobi.
„A kiedy nadejdzie godzina już taka,
„Więc hurra! I dalej! Kropić Austryjaka!"
Bardzo się te słowa Stacha podobały,
I aż łzy radości wszystkim w oczach stały.
A Bartek z zanadrza szkaplerz wydobywa,
Klęka przed drugimi, i tak się odzywa:
„Na ten szkaplerz święty poprzysiężmy sobie,
„Że będziem gotowi stanąć w każdej dobie!
„A kiedy nadejdzie godzina już taka
„Więc hurra! I dalej! Kropić Austryjaka!"

1848 r.

GÓRY JAK BIAŁE SŁONIE

(Dokończenie ze str. 1)

— Oh, oczywiście. Ale ja nie dbam o siebie. I dobrze, zrobię to i znów będzie wszystko cudownie.

— Ale ja nie chcę, żebyś ty to tak odczuwała.

Dziewczyna wstała i przespacerowała się po stacji. Z drugiej strony gór ciągnęły się pola zboża, a z obu stron rzeki rosło wiele drzew. Daleko nad rzeką majaczyły góry. Na polach drgały cienie rzucane przez chmurę, a przez liście drzew góry były ledwie dostrzegalne.

— A moglibyśmy mieć to wszystko — powiedziała. Moglibyśmy, a z każdym dniem staje się to coraz bardziej nieosiągalne.

— Coś powiedziała?

— Powiedziałam, że moglibyśmy mieć wszystko.

— Nawet możemy.

— O nie.

— Możemy mieć cały świat.

— O nie.

— Możemy wszędzie pojechać.

— O nie... To już nie dla nas.

— Właśnie, że dla nas!

— O nie. Jeżeli się coś raz oddali, już tego nigdy nie odzyskasz.

— Ale przecież nic się nie oddaliło.

— Poczekaj to zobaczysz.

— Wróć w cień — zaniepokoił się mężczyzna.

— Nie powinnaś tak myśleć.

— Ja nie myślę ani tak, ani inaczej — odpowiedziała dziewczyna. Po prostu wiem jak jest.

— Dziecko, ja nie chcę żebyś zrobiła coś, czego sobie nie życzysz...

— Chociaż byłoby to bardzo niewskazane. Wiem. Możebyśmy się jeszcze napili piwa?

— Dobrze. Ale powinnaś sobie zdać sprawę...

— Oh, świetnie sobie zdaję — odpowiedziała dziewczyna. — Czy nie moglibyśmy przestać rozmawiać?

Usiedli przy stole i dziewczyna przyglądała się górom, a mężczyzna jej, albo powierzchni stołu.

— Powinnaś zdać sobie sprawę — powiedział — że nie chcę, abyś zrobiła coś, czego sobie nie życzysz. Mogę się doskonale obejść bez tego, jeżeli to dla ciebie tyle znaczy.

— A dla ciebie nie?

— Oczywiście, że znaczy. Ale ja nie chcę nikogo innego. Chcę tylko ciebie. I wiem, że to jest naprawdę proste.

— Jak ty wiesz, że to jest naprawdę proste.

— To ładnie, że tak mówisz. Ja naprawdę wiem.

— Czy możesz coś dla mnie zrobić?

— Ależ wszystko.

— To proszę, proszę proszę proszę, proszę przestańmy rozmawiać.

Nic nie odpowiedział, ale przyjrzał się bacznie walizkom, opartym o ścianę stacji. Pełno było na nich nalepek, mówiących o tym, gdzie spędzili ostatnie noce.

— Ależ ja tego nie chcę, jeżeli ty sobie nie życzysz — powtórzył znowu.

— Nie dbam o to.

— Będę krzyczeć! — odpowiedziała dziewczyna. Kobieta ukazała się zza zasłony niosąc dwie szklanki i postawiła je na wilgotnych krążkach.

— Pociąg nadejdzie za pięć minut — oznajmiła.

— Co ona powiedziała? — spytała dziewczyna.

— Że pociąg nadejdzie za pięć minut.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie do kobiety, aby jej podziękować.

— Przeniosę już lepiej bagaże — powiedział mężczyzna.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

Podniósł dwie ciężkie walizki i poszedł na drugą stronę peronu. Wracając wstąpił do baru, gdzie piła większość pasażerów. Wypił Anis del Toro i przyjrzał się twarzom podróżnych. Wszyscy rozsądnie oczekiwali na nadejście pociągu. Odsunął zasłonę i wyszedł. Dziewczyna siedziała przy stoliku i uśmiechała się. — No jak tam, lepiej? — spytał.

— Świetnie — odpowiedziała. — Nic mi nie jest. Świetnie.

Ernest Hemingway
tłumaczyła **E. Fiszer**

HELENA BOBIŃSKA

Droga najmniejszego oporu

„I właśnie trzeba, aby ludowi, co staje się panem tej ziemi, stały się dostępne wszystkie zdobycze wiedzy. Wszystkie bóle i radości, co nam przekazała historia. Całe skarby umysłu i serca, jakie ma polska kultura, cały bogaty dorobek literatury".

Pisał te dumne słowa stary, już dziś nie żyjący „zaraniarz", Tomasz Nocznicki. Pisał je w 1913 roku.

Dziś należało by je wyryć złotymi literami na odrzwiach naszych ministerstw Oświaty, Kultury i Sztuki, w gabinetach redaktorów, wydawców i uczonych — wszędzie, gdzie się tworzy kultura ludu, „co nareszcie stał się panem tej ziemi".

Bo raz po raz nad zdrowym, normalnym rozwojem tej kultury zawisa groźba „ułatwiania i uproszczania". Znowu na szpalty tygodników wypływa smutnej pamięci „nusz w bżuchu". Ongi Żeromski, zwalczając namiętnie snobistyczny wybryk ortograficzny Brunona Jasieńskiego, pisał w książce „Snobizm i Postęp":

„Podstawy poprawnego pisania muszą być niewzruszone jak szyny kolejowe. Nie mogą być podważane i niszczone, o ile ruch nasz w kierunku krainy postępu ma istnieć".

Dziś podważa się znowu te szyny w imię... właśnie postępu, aby ułatwić poprawne pisanie „robotnikowi, który został dyrektorem" (patrz Kronik. tygodn. 31. Nr. „Nowin Literackich").

Że takie „podważanie szyn kolejowych" nie jest bynajmniej ułatwieniem w rozwoju naszej kultury, na to przytacza niezbite argumenty Stefan Hrabec w Nr 9 „Kuźnicy" w artykule: „Ubożenie na pisownie". Nie będę tu powtarzała tych argumentów. Zatrzymam się na jednym tylko twierdzeniu w wywodach R. St. Dobrowolskiego, mianowicie, że „reforma pisowni ułatwi życie gnębionym do tej pory małym dzieciom". Jest to pogląd z gruntu błędny. Umysłowość dziecka, nawet małego dziecka, zdumiewa nas logiką rozumowania. Każde dziecko zrozumie, że piszemy „nóż" przez „ó" kreskowane, bo mówimy „noża", „noże" itd. Daleko trudniej będzie mu pojąć, że „nusz" w liczbie mnogiej będzie „noże", bo to urąga wszelkiej logice.

Dziecko jest lingwistą z zamiłowania. Jak człowiek pierwotny, poznając otaczający je świat, nadaje mu własne nazwy. Te nowotwory językowe często są niezgodne z gramatyką, zawsze jednak zdumiewają nas logicznością. Czukowski w swej książce „Mowa dziecka" („Dzietskoje słowo"), rozkłada przed nami całe bogactwo tej dziecięcej twórczości językowej. Umysł dziecka bynajmniej nie dąży do uproszczenia języka. Przeciwnie. Często nie zadawalniając się mową ojczystą, a nawet którymś z języków obcych, dziecko wymyśla sobie skomplikowany język własny, dodając do każdej sylaby pół słówka jakąś przystawkę „-li", „-ke", „-abu" albo jeszcze inną (często wymyśla sobie własny „szyfr").

Któż z nas w latach dziecięcych nie tworzył sobie takiego „własnego" języka i nie osiągał niezwykłej biegłości we władaniu nim? Dzieci lubią wszelkie łamańce i łamigłówki językowe. Ze szczerą uciechą piszą takie zdania jak: „Płynął buk przez Bug i dał Bóg, że nie utonął buk".

(Ciekawam jakby takie zdanie wyglądało w fonetycznej pisowni R. St. Dobrowolskiego?).

Zdaje mi się, że nie doceniamy językowych zdolności dzieci i niesłusznie chłonności ich mózgów właśnie w tym kierunku. I nie umiemy tej chłonności wyzyskać.

„Kultura językowa zaczyna się tam, gdzie się zaczyna samowiedza mowy, językowa, gdy ludzie nie tylko mówią, ale zastanawiają się nad tym jak mówią, gdy zaczynają sprawdzać nieświadome poczucie językowe". (St. Szober. Przedmowa autora w Słowniku ort.).

Zdaje mi się, że tę kulturę językową powinniśmy rozwijać w dziecku bardzo wcześnie, wraz z pierwszymi zasadami pisowni. Wtedy zasady pisowni nie będą dla dziecka czymś narzuconym z góry — będą wypływały logicznie ze znaczenia wyrazu.

Zamiast więc „ułatwiać" pisownię „gnębionym dzieciom", wprowadzając do niej chaos, czy nie należało by iść raczej drogą **największego oporu**? To jest uczynić z nauką języka to, co już dość dawno uczyniono z botaniką?

Zamiast uczyć botaniki z atlasów botanicznych, lub z zielników — nauczyciel prowadzi uczniów w pola i lasy, zapoznaje ich z rośliną żywą, kwitnącą, rozwijającą się.

To samo należy uczynić z nauką języka. Należy poprowadzić dziecko w **głąb** naszej mowy. Pokazać mu, jak mowa nasza rodziła się, rozwijała i rosła.

Korzenie jej tkwią dziś jeszcze w glebie słowiańskiej. Wystarczy wczytać się w Słownik Lindego, aby znaleźć się w jakimś praborze naszej mowy. Docieramy wówczas do tych niezniszczalnych korzeni, do zmurszałych w głąb wieków aż do wiodących nas do wspólnego pnia języków pokrewnych. Drogi rozwoju naszego języka są drogami rozwoju naszej kultury. Po zagubionym tropie słów, aż do odwiecznych, macierzystych ich pni, lingwiści śledzą wędrówki ludów od Oceanu Spokojnego, po brzegi Południowych i Północnych mórz.

„Ogólna ilość wyrazów prasłowiańskich, zachowanych odtąd bez zasadniczej zmiany w naszym języku przekracza 1700" — mówi Lehr-Spławiński („Dzieje języka polskiego").

„Z tych 1700 wyrazów pochodzenia słowiańskiego, — czytamy dalej — „zaledwie jedna dziesiąta, mianowicie 178 odnosi się do wewnętrznego, duchowego życia człowieka, a z górą osiem dziesiątych, bo aż 1450 dotyczy świata i życia zewnętrznego".

Ale nawet te 178 słów, które według Lehra-Spławińskiego odnoszą się do wewnętrznego życia człowieka jako to: prawda, sprawiedliwość, miłość, sława, chluba, chwała itd., i które noszą miano pojęć „oderwanych", albo rzeczowników „umysłowych" — czy były one zawsze oderwane od zewnętrznego życia?

Weźmy takie słowo, jak „prawda".

Cóż to jest „prawda"? Czysta abstrakcja.

Każdy nosi w duszy jakąś prawdę. Niejeden nawet za tę prawdę umiera. Ale któż ją kiedy oglądał?

„Prawda kiedyś była, to ją wilki zjadły" — mówi stare przysłowie ludowe.

Zajrzyjmy jednak do Lindego. Dowiemy się, że u śródwagi linia ta, na której nić z kulką stawa — zowie się linią prawdy (Solsk. Geometria 2).

„Prawda stołowa" — kraniec od misy.

„Prawda" — krążek, na którym się stawia talerz lub miskę". (Pacholę stół ma przychędożyć, obrus biały pościele, prawdę w pośrodku położy. Eraz.).

„Prawda" — wgłębienie pośrodku jarzma, na które zakładało się dyszel sochy, jeżeli woły były równej siły — inaczej: dyszel nakładało się na „prawdę", czyli sprawiedliwie.

„Prawidło" to samo prawidło, które dziś tyle kłopotów sprawia nam w pisowni, oznaczało ongi „ramę, na której szyje się ul słomiany (kószkę), **prawidłem** drewnianym posługuje się szewc i murarz. „Wątek", — co tak często rwie się w naszych myślach i słowach, pochodzi od słowa „tkać" i oznacza „nici na cewkę zwite". Oznacza też majątek, dostatek, pieniądze.

„Postać" — słowo powszechnie dziś używane — określało ongi szerokość niwy, zajętej przez rząd żniwiarzy („przodownica zowie się „postatnicą").

W Pułtuskim nad Narwią „chlubą" — lud zowie dziś jeszcze zieloną wić.

Widzimy więc, że nawet takie pojęcia, jak „prawda", „sprawiedliwość", „postać", „chluba" dziś abstrakcyjne, ongi nie były **oderwane** od życia. Były to rzeczy widome, namacalne. Tworzyły się pracą całych pokoleń. Wytrwałym zmaganiem się z drewnem, kamieniem, gliną, w których prasłowianin wykuwał swą broń lub narzędzie. Stąd w wielu słowach naszej mowy po dziś dzień dźwięczy ten materiał, z którego zostały sklecone, wylepione lub wykute: kołatka, klekotka, kleć — wydaje tępy odgłos drzewa, „dzban" ma chłodny oddźwięk palonej gliny, a „kowadło" odzywa się dźwiękiem młota.

Czasem jedno słowo otwiera przed nami długie dzieje kultury, jak słowo „socha".

„Socha" oznacza rosochatą gałąź. Ile wieków trzeba było, aby człowiek ,zrodzony w puszczy, zbruździł tą sochą pierwszy zagon (zagony zwały się też „lechami") i wrzucił weń ziarno? Ile później pokoleń minęło, zanim „socha" stała się miarą roli, jaką można w określonym czasie zaorać?

Ta **prawdziwa** wiedza o naszej mowie zamknięta jest w grubych tomach słowników w bibliotekach publicznych i dostępna niewielu. Cóż wie o tym chłop, robotnik, a przede wszystkim dziecko w szkole?

Prawie pół wieku temu, kiedy został odkryty rad, sławny fizyk angielski Soddi, pisał w swym wielkim dziele „Rad":

„Za kilka lat elementarne początki radioaktywności będą wprowadzone do wszystkich szkół, jako należące do początków fizyki".

Kiedy wreszcie prawdziwa wiedza o naszej mowie będzie wprowadzona do naszych szkół, jako należąca do „początków języka polskiego"? Próżno byśmy szukali w wypisach takich tajemnic naszej mowy, o jakich wspomniałam, otwierających przed umysłem dziecka przedziwne perspektywy w głąb dziejów ojczystego języka.

Zamiast tę wiedzę o języku uprzystępnić szerokim masom, a przede wszystkim dzieciom, proponuje się wprowadzenie pisowni fonetycznej. Czyli proponuje się odcięcie naszej mowy od macierzystego pnia języków słowiańskich. Jak dalece dziś jeszcze języki słowiańskie są ze sobą związane dowodzi fakt, że lingwista obok polskiego słowa podaje prawie zawsze w słowniku to samo słowo w języku rosyjskim, chorwackim, czeskim, serbskim, bo **pierwiastek** danego słowa jest zawsze ten sam. Zmieniając dowolnie pierwiastek słowa, zmieniamy jego rodowód i wszystkie pochodne odeń słowa. Weźmy dla przykładu słowo „Bóg".

„Bóg" według Brücknera pierwotnie znaczy szczęście, pomyślność. Stąd „bogaty", „niebogi", „ubogi", „niebożyc" (na Litwie i na Podlasiu lud dotąd zwie ogień „bogaczem")

Przysłowie ludowe mówi: „Samo nazwisko dowodzi, że zboże od Boga pochodzi".

Słowo „bug" napisane pisownią fonetyczną od czego innego pochodzi i co innego zeń się rodzi („bug" według Brücknera znaczy „zgięcie — dawna nazwa monety, pierścień).

A mowa nasza jest **żywym organizmem**, rozwija się i rośnie.

Nowe, nieistniejące dotąd wytwory naszej kultury przynoszą ze sobą nowe słowa. Np. „głośnik" i „grzejnik". Są to słowa, które weszły do naszego języka z odkryciem radia i elektryczności. Takich słów moglibyśmy wymienić więcej. Często znajdujemy w nich tę samą twórczą logikę, jaką posiada dziecko. Górale, rower przezwali „kręcidłem", mówią: „wierchowić się nad kimś" zamiast: „wywyższać się".

Nowe zjawiska w życiu społecznym znacznie rozszerzają ramy języka. Za przykład może tu służyć powstałe w Rosji słowo: „wydwiżeniec" lub „wydwiżenka" oznaczające robotnika lub robotnicę, wysuniętych na kierownicze stanowisko. U nas to zjawisko już istnieje. Słowo jeszcze się nie zrodziło. Że słowo takie rodzi się niejako żywiołowo, że wymyśleć je trudno, dowodzi fakt, że w ZSRR w swoim czasie ogłoszono konkurs na wynalezienie słowa „wydwiżeniec" w języku polskim. Ale słowa tego w języku polskim dotąd nie mamy. Zrodzi się ono w Polsce Ludowej. Bez konkursu.

Ci, którzy tworzą nowe formy życia, znajdą i nowe dla nich słowa. Ale właśnie dlatego trzeba, aby „ludowi stały się dostępne wszystkie zdobycze wiedzy" jak o tym marzył stary działacz — Nocznicki. **Bowiem u podłoża wszelkich ułatwień i uproszczeń „dla ludu" leży głęboko zakorzeniona, małoduszna niewiara w siły i zdolności tego ludu.**

Robotnik, który zdołał tak opanować technikę danego przemysłu, że został dyrektorem, potrafi zdobyć jeszcze jeden szaniec — prawidłową pisownię. Ułatwiając mu rzekomo, tę pisownię (za radą S. R. Dobrowolskiego), zamykamy przed nim cały skarbiec naszej kultury — jakim są dzieje naszej mowy. Więcej uniemożliwiamy mu zrozumienie języka innych słowiańskich narodów — bliskich nam i kulturą i mową.

Czas już wielki, abyśmy zrozumieli, że dla ludu, który zdobył sobie wreszcie prawo do całej kultury polskiej — droga wszelkich ułatwień i uproszczeń **jest drogą najmniejszego oporu i — największej krzywdy.**

*

Inna sprawa, czy należy zostawić pisownię w dzisiejszej formie. Język jest narzędziem myśli. I jak każde narzędzie, im bardziej jest precezyjne, im bardziej giętkie, tym lepiej odpowiada naszemu celowi. Pisownia musi zachować całą giętkość i dokładność języka. Pisownia, która każe nam pisać: „Mania ma taką manię" — nie odpowiada swemu celowi, mąci treść i fałszuje dźwięk. Bezmyślna siekanka, którą dzisiejsza pisownia robi z naszych słów, — również nie dodaje jasności i dokładności naszemu językowi.

„Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie" — skarży się nasz wieszcz. Nasza obecna zreformowana pisownia kłamie i językowi i głosowi i myślom. A często i zdrowemu rozsądkowi.

Żaden pisarz, który nie tylko wypisuje swe myśli, ale pragnie je **słyszeć** — nie napisze „Stefanja", tak samo jak „Frania". I kalecząc swe myśli w tępych formach naszej pisowni, klnie brzydko, jak rzemieślnik, co prostackim narzędziem musi wykonać dzieło sztuki.

Mamy więc prawo żądać wprowadzenia ładu i logiki do naszej pisowni. Nie z litości dla robotnika, który został dyrektorem, ale z litości dla nas wszystkich, a przede wszystkim — dla pisarzy.

Helena Bobińska

RYSZARD MATUSZEWSKI

Edmundowi Osmańczykowi w sprawie niemieckiej parę słów odpowiedzi

Cieszę się bardzo, że autor świetnych artykułów o Niemczech Edmund Osmańczyk, zechciał zabrać głos w sprawie moich wrażeń z wizyty w Niemczech, ujętych w dialogu p.t. „W poszukiwaniu dziesięciu sprawiedliwych" („Odrodzenie Nr. 42 z dn. 19. X. 1947 r.).

Cieszę się, że moje rozważania, pisarza nie polityka, i obserwatora nie zaś badacza współczesnych Niemiec, stały się punktem wyjścia dla jego tez i polemiki, w której, mam nadzieję, uda mi się wyjaśnić kilka niewątpliwych nieporozumień.

Po pierwsze, nieporozumieniem jest *sugerowanie* czytelnikowi przez Osmańczyka, jakobym twierdził, że mądrą polityką wobec Niemiec jest polityka proniemiecka, i dalej *utrzymywanie* jakobym twierdził, że taką politykę uprawia Związek Radziecki.

Po drugie, nieporozumieniem jest dopatrywanie się przez Osmańczyka różnicy między jego stosunkiem do sprawy niemieckiej, wyrażonym w twierdzeniu, że należy czynić wszystko, co może zmienić naród niemiecki, a moim, które mówi, że „należy dokonać takich zmian w strukturze społecznej tego kraju, których konsekwencją byłaby rzeczywiście pokojowa i demokratyczna polityka niemiecka".

Wydaje mi się, że *praktycznie* w stosunku Osmańczyka i moim do sprawy niemieckiej *różnic nie ma*, tak jak nie ma ich w ogóle w polskim społeczeństwie. Co więcej, zdawało mi się dotychczas zawsze na podstawie lektury książek Osmańczyka, że jeśli istnieją pewne różnice w poglądach na sposób załatwienia sprawy niemieckiej między Polakami, to wynikają one jedynie ze stopnia umiejętności *eliminacji* czynnika *uczuciowego*, ze stopnia trzeźwości oceny Niemiec, jako poważnego mimo klęski czynnika w polityce i historii. Zdawało mi się, między innymi wówczas kiedy omawiałem w „Kuźnicy" książkę Osmańczyka, że pod tym względem, pod względem sprawy doceniania nie tylko niebezpieczeństwa, ale w ogóle znaczenia Niemiec, wartości ich jako czynnika realnej siły, której nie wolno lekceważyć — obaj byliśmy *tego samego zdania*: zdania, że nie wolno do sprawy Niemiec odnosić się *lekkomyślnie*.

W polemice ze mną Osmańczyk wysuwa, jako szczególnie rażące go, zdanie z mego dialogu, zaczynające się od słów: „Mądra polityka w stosunku do Niemiec to *nie budzenie* ich ducha oporu przez jakiekolwiek posunięcia skierowane przeciw nim, ale..." i następnie zakończone zacytowanym powyżej ustępem o konieczności zmiany struktury społecznej Niemiec.

Zdanie to (ściśle biorąc, wypowiada je jedna z osób dialogu, lecz od odpowiedzialności za nie nie mam zamiaru się uchylać), Osmańczyk, zapewne przez nieuwagę, cytując zniekształca. Chodzi o zmianę drobną ale istotną: Osmańczyk pisze o „niebudzeniu ducha oporu", po prostu to co było u mnie przeciwstawieniem, wyrażonym za pomocą dwu słów, pisanych rozłącznie, pisze łącznie, jako jeden wyraz, co do pewnego stopnia zmienia i inaczej zabarwia sens zdania. Nie twierdzę, że tylko to drobne zniekształcenie wpłynęło w tym wypadku na fałszywą interpretację sensu moich wypowiedzi przez Osmańczyka, ale pragnę na nie zwrócić uwagę jako na szczegół, mnie z kolei ułatwiający obronę.

Co chciałem wyrazić, mówiąc na marginesie polityki Związku Radzieckiego, że jest to polityka, która nie polega na niepotrzebnym i lekkomyślnym budzeniu ducha oporu Niemców? Jasne: chciałem przez to powiedzieć, że polityka ta *nie jest*, tak jak tego pragnie u nas często ze względów zrozumiałych, ale względów wyłącznie emocjonalnych, szary obywatel — *polityką odwetu* lub *polityką drażnienia Niemiec*. Byłoby kłamstwem, gdybym powiedział, że nią jest. Byłoby głupotą, gdybym powiedział, że nią być powinna.

Czy Rosjanie stosują wobec Niemiec te metody, jakie stosował wobec krajów podbitych hitleryzm? Czy nękają ludność niemiecką grozą śmierci za drutami i w krematoriach, grozą masowych łapanek, zbiorowej odpowiedzialności? Czy zachowują się wobec pokonanych jak naród panów? Nie. Metoda taka utwierdzałaby jedynie naród niemiecki w jego znikczemnieniu. Nie przyczyniłaby się w niczym do wychowania przyszłych Niemiec, o które chodzi tak koledze Osmańczykowi jak i mnie.

Nie usiłowałem uzasadnić, że polityka radziecka wobec Niemiec jest polityką popularną. Pokazałem, że opiera się w niej Związek Radziecki na jednostkach, z których jedna w dialogu moim wypowiada słowa następujące: „Nie wolno przestawać ani na chwilę rzucać im (Niemcom — przyp. mój) prawdy w oczy. Nie lubią tego — to prawda. Bez tego nie ma jednak budowy społeczeństwa niemieckiego na nowych podstawach".

Jeżeli takie zdania, jak również zdania przyznające nam prawo do naszych ziem zachodnich, padają z ust ludzi, na których Związek Radziecki buduje przyszłe Niemcy, to pytam, dlaczego *Osmańczyk przypisuje mi* twierdzenie, iż polityka radziecka jest polityką zdobywania *taniej popularności* wśród Niemców?

Kolega Osmańczyk nieściśle stawia zagadnienie, pisząc, że europejska polityka w stosunku do dzisiejszych Niemiec musi być w każdym wypadku skierowana przeciwko nim, i że w konkretnym wypadku jest — przez Związek Radziecki — przeciwko nim kierowana.

Polityka Związku Radzieckiego jest kierowana przeciwko takim, również i dzisiejszym Niemcom, których klęska niczego nie nauczyła, które nie są niczym innym niż Niemcy wczorajsze, Niemcy faszystowsko - hitlerowskie. Polityka ta nie jest natomiast wcale skierowana przeciwko tym, znikomym jeszcze dziś liczebnie, ale stanowiącym fundament przyszłości zalążkom nowych Niemiec, które muszą powstać, jeżeli w reedukację Niemiec w ogóle chcemy wierzyć.

Polityka ta nie może być skierowana przeciwko nim, gdyby bowiem tak było, cały dość utopijnie przez kolegę Osmańczyka potraktowany postulat wychowania przyszłych Niemców byłby fikcją. Nie można nikogo wychować, będąc z założenia jego wrogiem. Dowiodły tego wszystkie odmiany nacjonalizmu i krótkowzrocznego imperializmu w historii. Można i należy być wrogiem wad i nikczemności narodu niemieckiego, ale nie wrogiem Niemców w ogóle, jako takich. Przynajmniej jeśli się chce nimi mądrze rządzić i na nich wpływać.

Dlatego żadne z mocarstw okupujących Niemcy, mających ambicję rządzenia nimi i wpływania na nie, nie prowadzi w stosunku do Niemiec polityki *integralnej wrogości*. Każde stara się stworzyć w Niemczech realną bazę dla wychowania przyszłych, innych Niemiec. Różnica między mocarstwami zachodnimi a Związkiem Radzieckim polega w tym wypadku na tym, że *mocarstwa zachodnie tworzą tę bazę cynicznie, na starych imperialistyczno - kapitalistycznych podstawach*, przyczyniając się do odrodzenia Niemiec dotychczasowych, *Związek Radziecki zaś tworzy ją na podstawach innych, podstawach zdrowych*.

Jakie są te podstawy? O tym właśnie pisałem w moim artykule. Jeżeli nawet tylko częściowo polegają one na wykorzystaniu haseł popularnych dla szarego człowieka w Niemczech, jak hasła pracy i odbudowy, to w każdym razie wszędzie gdzie indziej oparte są i być muszą o rachuby, dające nadzieje na przeniknięcie z czasem do świadomości tych, których należy przekształcić i wychować, aby Niemcy zmienić.

Nie jest błahym frazesem fakt, że zarówno Związek Radziecki jak wszystkie fronty ludowe na całym świecie toczyły zawsze walkę nie z narodem niemieckim, ale z niemieckim faszyzmem (a także z każdym innym faszyzmem). Można było i należało utożsamiać Niemcy i faszyzm wówczas, kiedy haniebny upadek narodu niemieckiego wyeliminował wszystkie inne, żywe siły tego narodu, sprowadzając ich znaczenie do zera. Jeśli się jednak mówi o przyszłej reedukacji Niemiec, utożsamiać tych rzeczy już nie można. Nie można też, jak to czyni Osmańczyk, chwalić politykę Związku Radzieckiego i nie zauważać, że jest to polityka w najistotniejszy sposób oparta o teorię, według której obok podziałów i różnic narodowościowych istnieją również podziały i różnice klasowe. Sprawa niemiecka nie jest ani dla świata ani dla nas tak tragicznie prosta, jak to pisze kolega Osmańczyk. Nie wiele wyjaśnia frazes: „naród zatruty przez barbarzyństwo historii Prus". To jest dziennikarski slogan. Można to samo powiedzieć inaczej i rozsądniej, stosując odpowiednie terminy z zakresu historii gospodarczej.

Za politykę marksistowską można, jak mi się zdaje, uznać politykę bezkompromisową, stroniącą od taniej popularności, ale nie można za nią nigdy uważać polityki nacjonalistycznej, skierowanej przeciwko Niemcom jako narodowi, a nie przeciwko konkretnej, historycznej rzeczywistości ustrojowej Niemiec.

Oczywiście zgadzam się, że dopóki zmiany w Niemczech nie nastąpią, i to zmiany głębokie społeczne i wynikające z nich psychiczne, nie można za żadną cenę dopuścić do wzrostu siły Niemiec, choćby to miało trwać lat sto a nawet dwieście. Dlatego, podkreślam raz jeszcze, *praktycznie* nie widzę różnic w stosunku kolegi Osmańczyka do sprawy niemieckiej i moim, a całą polemikę uważam za nieporozumienie z jego strony. Przykro mi, że nie mieszkając jak kolega Osmańczyk w Berlinie i nie będąc specjalistą ani w zakresie zagadnień niemieckich, ani w zakresie polityki, zmuszony byłem wyjaśniać to nieporozumienie i niektóre rzeczy jak mi się zdawało elementarne. Uczyniłem to jednak wyłącznie jako rewanż za wyjaśnienia, których kolega Osmańczyk zapragnął mi nie bez pewnej naprawdę niepotrzebnej złośliwości udzielić na temat marksizmu. Myślę, że kolega Osmańczyk przyzna mi rację, gdy mu przypomnę zdanie z jego własnej książki o tym, abyśmy umieli *pięknie się różnić*.

Jeśli chodzi o sprawę Łużyc, to nie chciałbym podejmować rzuconej mi przez Osmańczyka rękawicy, gdyż 1-o wydaje mi się, że o sprawie tej pisałem w mym dialogu dość szeroko i podniosłem to wszystko, co na korzyść sprawy łużyckiej podnieść należało i co następnie kolega Osmańczyk tylko mi przypomniał, 2-o doprawdy nie chciałbym w tym wypadku utożsamiać się z Ygrekiem z mego dialogu, któremu bynajmniej nie oddałem w tym wypadku całej mojej autorskiej duszy. Nie bardzo wierzę w realne oddziaływanie Łużyczan na Niemców, o którym pisze Osmańczyk, zapewniam go jednak, że ani ten sceptycyzm ani polemiczna przekora nie zmniejszy mojej sympatii dla tego narodu.

Ryszard Matuszewski

W poprzednim podwójnym 13—14 (174 — 175) numerze „Odrodzenia" z dnia 28 marca — 4 kwietnia **Ksawery Pruszyński:** Kwestarz Wielkanocny. — **Piotr Borowy:** Plac Trzech Krzyży. — Twarz żołnierza. W polu minowym. — **K. I. Gałczyński** x x x. — **Jerzy Borejsza:** Na rogatkach kultury: O nadgorliwcach. — **Stanisław Gogłuska:** Drobiazgi francuskie. — **Wacław Rogowicz:** Pod znakiem wiary w człowieka. — **Marian Spychalski:** O artyście malarzu Franciszku Bartoszku. — **Tadeusz Breza:** Walka i spokój: „Dom pod Oświęcimem" Tadeusza Hołuja. — **bb:** Ikar paryski, „diwy" 1900, prezydent z brodą. — **Grzegorz Korczyński:** Śmierć Roberta. — **Julian Przyboś:** Żal. — **Dr J. P. Zajączkowski:** Arka Noego. — **Julian Krzyżanowski:** Pokolenie zagubione w wolności. — **Irena Gefon:** Balzak zabiega o reklamę. — **Adolf Nowaczyński:** Wiosna Narodów. — **Stanisław Jerzy Lec:** Fraszki liryczne. — **Stanisław Piętak:** Wiersze. — **Jerzy Andrzejewski:** Kartki z dziennika lektury: „Wiry" H. Sienkiewicza.— Powieść: („Oczekiwanie" Jerzego Broszkiewicza) Proza tłumaczona: („Lotnisko" Rexa Warnera; „Zagubione dni" Jamesa Hiltona); Reportaż („Życiorys wykuty kilofem" Jerzego Piórkowskiego). — **stg:** Apollinairiana. — **kjw:** — Czerep, ereb i szczeżuja. — **Jan Brzechwa:** Pisarz wśród dzieci. — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny: O drugim zjeździe poetów i kompozytorów. — **Mieczysław Jastrun:** Matecznik. — **Gustaw Flaubert:** Początek rewolucji. — **Wiktor Hugo:** Rzeczy widziane. — **Aleksander Hercen:** Po burzy. — **Aleksander Wat:** Błahy komentarz do rzeczy wielkich. **Jan Rojewski** Dwa realizmy. — Korespondencja. — Camera Obscura.

Głosy klubowców i wypowiedź pisarza

Młodzież i nieprzyzwoite wyrazy

Mogę śmiało zaliczyć się do grona młodzieży, o której moralność tak troszczą się w związku z „Pożegnaniami" niektórzy klubowcy. Nikogo jeszcze nie zepsuł najbardziej „nieprzyzwoity" wyraz, a wśród młodzieży, trzeba niestety przyznać, mają prawo obywatelstwa wyrazy, o których się nawet Dygatowi nie śniło. Zresztą gdyby to decydowało o wartości książki, to trzeba było by zniszczyć wiele książek Żeromskiego, Berenta i innych. — „Pożegnaniami" jestem wprost oczarowany. Na kartach tej książki co krok widzę siebie, swoich kolegów, prawdziwą młodzieńczość i niekiedy swój własny świat duchowy. Staję się wielbicielem Dygata.

Nr. leg. 3073

O kręgosłup ideologiczny bohatera

Korzystając z otwartej dyskusji na temat „Pożegnań" Dygata jako jeden z pierwszych członków Klubu zgłaszam swoje krótkie niefachowe uwagi „szarego człowieka". Pierwszym występem Klubu jestem rozczarowany i zrażony. Wydana książka w treści swej nie posiada po prostu ani kręgosłupa ideowego, ani logicznego uzasadnienia. Przedstawione sceny, obrazy, zdarzenia czy fragmenty sfotografowane może aż nazbyt dokładnie, pozostają tylko bezdusznymi fotografiami z rażącym i niesmacznym retuszem ordynarności, a nawet pornografii, które widocznie mają oznaczać „nowoczesność i postępowość". W fotografiach tych brak jasnego, wyraźnego, logicznego, konkretnego uzasadnienia i powiązania. Nie można zrozumieć dlaczego bohater „Pożegnań" splunął przechodząc koło kościoła (str 75), dlaczego ma on w sobie tylko gnuśność i niezadowolenie z rzeczywistości, bez zdolności i ochoty do jakiegoś czynu lub choćby tylko do konkretnych projektów myślowych, dlaczego niezadowolony z rzeczywistości spędza czas na pijackich orgiach i to na cudzy rachunek, dlaczego takie „chore", takie bez żadnego wyrazu jest jego postępowanie w czasie okupacji. Jednym słowem bohater „Pożegnań" jest bez krwi i kości, jest galaretą, nie można go nawet nazwać „letnią wodą", jest po prostu wyimaginowanym nierealnym typem.

Podobnym również jest wymuszony „wyduszony" i silący się na oryginalność styl książki. Jak to już zaznaczyłem całość robi wrażenie zlepka lepszych lub gorszych fragmentów, z których dużo wyróżnia się inwektywami i odrażającą ordynarnością. — Nie chcę tu mówić o jakimś problemie zgorszenia czy estetyki, lecz uważam, że operowanie bez potrzeby rynsztokowymi epitetami czy odrażającymi scenami, tylko dla nich samych, jest po prostu — mówiąc oględnie — niesmaczne. Książki tej nie można nazwać wynikiem twórczego talentu lub wykonaniem „zamówienia społecznego". Drobne tylko fragmenty czy nieliczne trafne i dowcipne powiedzenia nie mogą wpłynąć na całość.

Oczekuję, że następne książki będą stopniowo coraz lepsze, że Klub nie będzie się cofać, a „Pożegnania" staną się pożegnaniami z tego rodzaju wydaniami. W przeciwnym razie z miejsca należało by wystąpić z Klubu, by nie popierać takich wydawnictw.

Ludwik Świderski (Nr. leg. 3610)

„Co to będzie, jeżeli książka ta wpadnie do rąk dorastającej młodzieży?!" — Nic nie będzie, proszę pana

Piszę ten list w imieniu członków naszej biblioteki, którzy pierwszą książkę Klubu Odrodzenia przeczytali i zrozumieli. — Na temat przeczytanej książki otworzyliśmy pewnego wieczoru rzeczową dyskusję i doszliśmy wspólnie do jednego wniosku, że książka Dygata jest pierwszą z serii tych książek, które powinny się ukazać na naszym rynku wydawniczym i które pozwoliłyby przeciętnemu człowiekowi patrzeć na zagadnienia dotyczące warstw społecznych z innego punktu widzenia, bez zasłony pruderii i fałszywego „dobrego tonu". Książka ta pozwoliła nam poznać charaktery ludzi pokroju Maryny, których ceniono dlatego, że pochodzili z bardzo wysokiego rodu i byli blisko skoligaceni z panującymi niegdyś [illegible] domami w Europie. Jesteśmy młodymi ludźmi i jeden fakt opowiadania Dygata uderzył nas niemile. Chodzi nam o problem ambicji, bohater opowiadania, człowiek młody i... podobno szalenie ambitny, zjawia się u starej ciotki, której dotąd unikał, bo.... potrzebne mu są pieniądze. Co do dyskusji otwartej na łamach „Odrodzenia" to nie podzielamy opinii p. Edwarda Jelonka (pierwszego członka Klubu), zarzucającego książce brak tendencji społecznych, bo te znajdują się w niej i są zarysowane szczególnie wyraziście. Jednocześnie rozpraszamy obawy w. wym. pana co do faktu „co to będzie, jeżeli książka ta wpadnie do rąk dorastającej młodzieży?!" Nic nie będzie proszę pana, bo książka ta [illegible] w nich nie wywrze na pewno zgubnego wpływu na duszę młodego czytelnika. [illegible] od dawna, a obecnie zrozumiał ją dzięki książce Dygata.

Niewiadomski Jerzy, członek OMTUR Grochów (Nr leg. 7960).

Poziom

Śpieszę i ja dorzucić słów kilka o „Pożegnaniach" Dygata. Co za czarująca książka! Jakże przyjemnie się czyta i jaki żal ma się do autora, że to już... Wszystkie pochwały [illegible] są odbiciem naszego sądu o „Pożegnaniach". Z oburzeniem, a nade wszystko z ogromnym wstydem czytałem niektóre „krytyki" członków KO zamieszczone w nrze 9 „Odrodzenia". Wstyd mi za takich współklubowców. Co za poziom! Co za kołtuneria! Niestety, szczególnie na naszej prowincji panoszy się „Kołtun Drobnomieszczański". Walczcie z nim i niech Dygata nie odstraszają dewoty i dewotki, i niech dalej pisze swoje czarujące igraszki.

Inż. Z. Czerniakowski (Nr leg. 10)

Tęsknota do klasyków

Chciałam przesłać garść uwag na temat książki Dygata pt. „Pożegnania". Otóż niestety, sprawiła mi ona rozczarowanie, a znajomi, którzy ją czytali — podzielili to uczucie. Autor „Jeziora Bodeńskiego" jest pewno jeszcze bardzo młody i musi się dużo nauczyć, aby pisać naprawdę dobre i piękne rzeczy. Jego „Pożegnania" nie są ani „urocze", ani „chłopięce" jak gdzieś tam napisano. Dzieje studenta cierpiącego na rozmiękczenie woli i rozwydrzonej dziewczyny — nie są ciekawe, ani budujące. A pewien [illegible] wyraz zaczynający się na k... który widnieje [illegible] co trzecia stronica — nie ma żadnej wartości artystycznej [illegible] uroku tej książki. Co zaś do tego, że książka ta ma przedstawić [illegible] nowej rzeczywistości w Polsce — to naprawdę, proszę [illegible] opowieść — 3/4 [illegible] wspomnień to opowiadania, a nawet przeżycia tego młodzieńca nie wiedzącego co z sobą zrobić na tym świecie i awantury rozhulanej panny niewiadomo jakiej, 1/4 opowiadania o nowych czasach ginie pod przygniatającą większością tamtej. Zamyka się książkę z żalem i z westchnieniem. Ach, tyle jest pięknych książek, tyle dobrych, wspaniałych książek! — Nie ma pieniędzy! Nie można sobie wybrać tego, co naprawdę piękne, głębokie i mądre. Bo książka Dygata już się nie wróci — odłoży się ją wysoko na półkę — niech spoczywa w spokoju. Nic dziwnego, że tęsknimy do klasyków, tęsknimy do książek, które nas nie tylko bawią, czy zainteresują, ale nas czegoś nauczą, podniosą na duchu — pokrzepią i wzmocnią. I jeszcze jedno — bohater „Jeziora Bodeńskiego" i ten młodzian z „Pożegnań" to chyba bliźniaki — jednakowy sposób myślenia, obijania się w życiu i uwodzenia kobiet.

St. Przeobrażeńska (Pabianice)

ODPOWIEDŹ

Przyznaję szczerze, że obowiązek zabrania głosu w dyskusji nad moją książką, do którego moralnie zmusił mnie Klub „Odrodzenia", wydaje mi się bardzo kłopotliwy Od dawna już, wtedy nawet, kiedy nie byłem jeszcze literatem i nie śniło mi się nawet, że los powoła mnie kiedyś do tej trudnej służby, zdawało mi się rzeczą niedorzeczną i nie bardzo przyzwoitą, gdym czytał, jak autor sam o swoim dziele rozprawiał i to przybierając ton niezachwianego i ostatecznego autorytetu. Bynajmniej nie jestem zdania, ażeby miał prawo takim się uważać: na sąd jego musi wpływać brak możliwości oceny i właściwego dystansu i typowy u człowieka odruch samoobrony, który — z lekką mgłą na oczach — każe jeśli się nawet nie bronić do upadłego, to w każdym razie, usprawiedliwiać, powołując się często na osobiste sprawy, które nikogo nie obchodzą. Matka mająca syna, nieznośnego łobuza, wybijającego sąsiadom szyby i wyrządzającego im dla figlów różne inne szkody, stanie w jego obronie, jeżeli zechcą go bić. Tłumaczyć będzie im i sobie, że dlatego ma taki charakter, bo ciężko chorował w dzieciństwie i jest nerwowy, ale wierzy mocno, że wyrośnie na porządnego i dzielnego mężczyznę. Choroba i nerwowość dziecka, tak bardzo wzruszająca dla matki, nie obchodzi nic a nic poszkodowanych sąsiadów, którym wieje przez rozbite szyby, tak samo nie pociesza ich wizja przyszłości łobuza jako porządnego i dzielnego mężczyzny.

Czy poszkodowany pan Edward Jelonek wzruszy się, jeżeli mu powiem, że w młodości przeszedłem ciężką chorobę „rabelaisizmu", w której wyniku przestały mnie w literaturze razić nieprzyzwoite wyrazy? Czy jego poszkodowana, a tak oczytana sąsiadka, dla jeszcze większej chwały swojego oczytania, zechce wziąć do ręki „Gargantuę i Pantagruela" jeden z fundamentów europejskiej literatury, dzieło, które jak może żadne inne, z szaleńczą śmiałością i beztroskim śmiechem, zdarło zasłonę obłudnej świętobliwości z mroków i zacofania średniowiecza? Wątpię. Ale à propos tych nieprzyzwoitych wyrazów: Babka moja, osoba nie tylko bardzo oczytana, ale żyjąca również w bliskiej przyjaźni z Norwidem (tak z Norwidem, te czasy są bliższe niż się nam wydaje), Reymontem, Sienkiewiczem, Olgą Boznańską i wielu innymi wybitnymi Polakami zamieszkującymi stale lub chwilowo w Paryżu, twierdziła, że dobre wychowanie nie polega na tym, żeby nigdy w salonie nie powiedzieć głośno: d..., ale żeby wiedzieć, kiedy można sobie na to powiedzenie pozwolić, a kiedy nie. Sądzę, że wyrazy tak zwane nieprzyzwoite mają prawo ukazywania się w druku, o ile autor ów ma jakiś szczególny takt pisarski, który mu dyktuje, kiedy może sobie na to pozwolić, a kiedy nie. Nie chcę tym wywodem przesądzać, czy ja właśnie ten talent posiadam Co do mnie mogę najwyżej zwrócić uwagę czytelników na fakt, że wszystkie owe nieszczęsne wyrazy są umieszczone w ustach (tfu!) działających postaci, a nie wypowiadane przez samego autora, dlatego jako autor mam prawo przyłączyć się do chóru niezadowolonych i powiedzieć: „Tak! Mnie się też nie podoba, że Lidka używa takich ulicznych słów. Ale może państwo zrozumiecie z jakiego się wywodzi środowiska, w jakiej atmosferze półprostytucji przebywała. Trzeba mieć dla niej trochę wyrozumiałości. Ona w używaniu takiego języka nie dostrzega niczego złego, jej wydaje się on „naturalny". W taki czy inny sposób mogę jeszcze długo tłumaczyć Lidkę, ale sam się tłumaczyć nie będę, bo nie jestem odpowiedzialny za to, jak się wyrażają dziewczyny z półświatka.

Co do innych zarzutów — to tak się złożyło, że wszystkie ataki, które chciałem odeprzeć, odparli za mnie w ostatnich listach przychylni mi czytelnicy i to właśnie posługując się argumentami takimi, jakimi ja zamierzałem się posłużyć. Zwalnia mnie to więc w miły sposób z niemiłego rozprawiania o sobie samym, za co autorom listów serdecznie dodatkowo dziękuję. Cała ta dyskusja, przyznaję szczerze, sprawiła mi dużą przyjemność. Pisarz jest na ogół nieświadomy tego, co myślą o nim czytelnicy. Zna tylko fachowe zdanie recenzentów i kolegów, oraz na ogół dość obłudną opinię znajomych. Bardzo się cieszę, że miałem okazję dowiedzieć się, co sądzą o mnie ci „prawdziwi" czytelnicy i z całą pewnością wyciągnę z ich opinii właściwe dla mojego pisarstwa wnioski na przyszłość. Chcę zaznaczyć, że największą przyjemność sprawiły mi głosy młodzieży i fakt, że ona właśnie zrozumiała mnie i wzięła w obronę. Serdecznie pozdrawiam wszystkich czytelników, ale szczególnie gorąco członków biblioteki OMTUR na Grochowie, oraz Jana Bijaka z Łagiszy.

Stanisław Dygat

Książka rozrywką

Czytałem uważnie listy członków Klubu w sprawie książki Dygata „Pożegnania". Ponieważ żadna z tych wypowiedzi nie odpowiada mi całkowicie, przysyłałam i ja parę moich słów. Książka pomyślana jako wyraz buntu przeciw zakłamaniu, napisana jest bardzo dobrze. Autor umiał znaleźć właściwą formę dla swej myśli. Sywetki ludzkie i ich sposób wysławiania kreślone są dowcipnie i mają charakter. Bohater książki w poszukiwaniu prostoty i prawdy woli jaskrawą brutalność, niż szablonowe kłamstwo. Zgadzam się jednak z jedną z czytelniczek, że w swej złośliwości jest bezlitosny, że śmieje się czasem z prawdziwych tragedii, co jest niesmaczne. Nasuwa się myśl, że sam jest tylko duchem negacji, schyłkowcem o antypatycznych cechach mężczyzn Montherlant'a, których w ogóle trudno nazwać mężczyznami. Książka artystycznie bardzo dobra i zabawna jest jednak bardzo lekkiej wagi gatunkowej. Nie można powiedzieć, by poza rozrywką dawała coś więcej. Wydaje mi się, że od Klubu „Odrodzenia" oczekuje się książek doborowych, zarówno co do formy jak i treści. Książki takie powinny człowiekowi dawać coś do przeżycia i przemyślenia.

Wanda Kirchmajer (z Warszawy)

O rozszerzenie horyzontów

Korzystając z praw członkowskich KO pozwalam sobie wtrącić swoje trzy grosze do dyskusji o „Pożegnaniach" Dygata. Nie będę tu podnosił zalet i wartości tej, moim zdaniem, pierwszorzędnej książki, gdyż zostały one już wskazane i podkreślone przez bardziej „fachowe czynniki". Chciałbym tylko podzielić się paroma refleksjami, które nasunęły mi się przy czytaniu wypowiedzi niektórych klubowców. A mianowicie: 1) Czy jeżeli wszyscy zobowiążemy się sumiennie zbojkotować w mowie i piśmie słowo k..., to takowe przestanie egzystować? 2) Czy pan radca Jelonek jest pewny, że młodzież dorastająca, której uniemożliwił złośliwie dostęp do „Pożegnań", nie widziała napisu k... i jeszcze dwóch innych słów na parkanie koło apteki w Kiernozi? 3) Czy bohater „Pożegnań" był bardziej niemoralny czy też bardziej niedżentelmeński w stosunku do Lidki w willi „Quo vadis"? 4) Czy wątek społeczny musi mieć charakter koniecznie taki, jak w audycjach radiowych „Przy sobocie po robocie"? 5) Czemu St. Dygat nie nazwał swojej powieści „Triumf"? 6) Czy KO ma zamiar kontynuować swoją działalność mimo utraty ze swych szeregów ob. Fr. Koźlika zam. w Pszczynie? 7) A „rendez vous eleganckiego świata przy kopaniu rowów przeciwczołgowych"? Jestem naprawdę zgorszony. Kreślę się z poważaniem i szczerze życzę klubowcom KO rozszerzenia swoich horyzontów poza obręb Placu Dominikańskiego.

Kazimierz Boreyko - Chodkiewicz
(Nr leg. 164)

Urok książki

Wypowiedzi klubistów w 9-tym nrze „Odrodzenia" skłoniły mnie do dorzucenia jeszcze jednego głosu czytelnika - dyletanta. „Pożegnania" uważam za powieść realistyczną, moralizującą i ciekawą pod względem stylu. Powieść mówi o rzeczywistości czasów niedalekich i zupełnie nam bliskich w środowisku arystokratycznym (Lidka — fordanserka i Feliks są ściśle związani z tym środowiskiem). Opowiada, jak wyglądała rzeczywistość obyczajowa na tle rzeczywistości dziejowej (w pierwszej części doktryny polityczne, w drugiej kataklizm powstania). Autor wyraźnie moralizuje tam, gdzie mówi o stosunku Lidki, Cacharda i bohatera powieści do opisywanej rzeczywistości. Bohater książki to młody człowiek, który żył i patrzył, a patrząc — myślał. Dygat pisze o czasach smutnych, w których dzieje się krzywda. Czytając tę smutną książkę jest się wesołym, tę książkę o rzeczach niepięknych nazwano „uroczą". Książka rzuca urok na czytelnika. Urok książki — to styl pisarza. Styl Dygata jest... dziwny. Jego dziwaczność („urocza") leży w swoistego rodzaju dowcipie. Nigdzie Dygat nie żartuje z nieszczęścia, natomiast zawsze obiekt ośmieszany (w dyskretny sposób) jest godny politowania. Ośmieszanie nie jest najważniejszą cechą tego stylu. Autor śmieje się tam, gdzie kto inny by gromił, w momentach wzruszenia, lub gdy chce położyć nacisk na to, czego w ogóle nie wypowiada. (Lidka odchodząca „z pieskiem pod pachą" przy rogu Nowogrodzkiej—ważne dla treści książki rozstanie) ze swadą łączy nonszalancję, czy może raczej coś podobnego do niej... Przypadkowy tytuł? Przypadkowo został zaczerpnięty, ale nie zastosowany. Bohater w dziwny trochę „uroczy" a trochę smutny sposób spotyka bohaterkę, by wkrótce rozstać się z nią (bez pożegnania) i poprzez wiele pożegnań z innymi ludźmi i miejscami (pamiętać należy, że między 1-ą a 2-gą częścią powieści była wojna, okupacja, Oświęcim...) zejść się z nią znowu na samym końcu książki, gdy jedni uciekli do Wiednia, inni pochowali się do piwnic, gdy szło Nowe i Trochę Nieznane, gdy... Lidka jadła jabłko. Chociaż powieść rozpoczyna się i kończy spotkaniem, ja uważam tytuł jej za bardzo trafny.

Maria Borycka (Nr leg. 233)

Uzgodnić akcję z KDK

Pierwsze negatywne wypowiedzi z nr. 9 „Odrodzenia" na temat książki Dygata wydają mi się znamiennie niepokojące, zwłaszcza gdyby miały wyrażać opinię połowy członków Klubu (4 — na 8 zamieszczonych listów). Czy nie stoimy przed następującą alternatywą? Albo Redakcja wybrała pierwszą książkę niefortunnie, albo znaczna część czytelników winna jest swego literackiego nieprzygotowania. Tymczasem „Pożegnania" są znakomite, a o winie czytelników nie może być mowy. Jak więc wybrnąć z sytuacji? Czy KO ma zniżyć poziom do upodobań, a przede wszystkim — przyzwyczajeń poważnej części swych odbiorców czy też utrzymując poziom zrezygnować z nich, czyli — z roli popularyzatora książki? Sądzę, że jest wyjście — uzgodnić akcję wydawniczą z KDK. Niech KO wydaje utwory na najwyższym poziomie, nie licząc się z ich nieprzystępnością dla ogółu, KDK natomiast niech daje dobrą i przystępną książkę! Zastosujmy więc w praktyce rozsądną propozycję Wata, podziału funkcji literatury na poznawczą i oddziaływującą (przez powszechną przystępność). Przystępna książka pozyska literaturze nowych konsumentów, a część z nich przygotuje do czytania książek wysokiej jakości. („Czarodziejskich Gór" nie można wznosić na ugorze). Nie mamy autorów zdolnych spełniać jednocześnie obie te ważne funkcje (?!). Wyrobionego artystycznie czytelnika masowego też nieprędko się dochowamy. A pisać i czytać już teraz trzeba. Podzielcie więc jasno role! Pomijam zarzuty zgłoszone odnośnie do treści „Pożegnań". W pierwszych listach dyskusyjnych są one uwarunkowane niedocenieniem formalnych walorów utworu".

Nr leg. 884 (Kraków)

Ludzie, co wy robicie!

Nie myślałem, że tak prędko napiszę do Was w związku z „Pożegnaniami" Dygata. Stało się atoli inaczej. Kupiłem sobie (przed półgodziną) „Odrodzenie" nr. 9 i natrafiłem na dyskusję Klubu „Odrodzenia". Jestem członkiem Klubu, więc zainteresowało mnie to. Co tam napisali? No i przeczytałem. I zaraz mnie „zatknęło". Ludzie, co wy robicie? Czy nie szkoda drogocennych szpalt „Odrodzenia" na wypełnienie ich podobnymi bzdurami? Więc to ma być „oblicze" czytelnika w Polsce? Cnotliwe oburzenie spowodowane użyciem przez Dygata słowa k....! Więc nie wydawać Nałkowską (?!) bo jest mało poczytna (Prousta można!). Wspaniała lekkość i swoboda Dygata nie podoba się panom Koźlikom i Jelonkom. Autor nie przemyślał tytułu książki.

Rozumiem, że trzeba pozwolić ludziom na swobodną wypowiedź. Że trzeba wysondować opinię. Ale czuję, że czytanie kącika dyskusyjnego KO stanie się torturą dla wielu ludzi. Powiecie, że można nie czytać. No tak, ale zawsze człowiek ciekawy. A może zmodyfikować ową dyskusję i nadać jej formę długoterminowej ankiety? Czytelnicy wypowiadają się za książka — tak, lub nie i podają *krótkie* umotywowanie. W ten sposób zaoszczędzi się nerwów wielu ludziom. A jeżeli i tego nie da się zrobić, to nie bądźcie tak złośliwi i nie drukujcie takich wypowiedzi, jak Członka (nr. leg. 757) czy Anonima z Katowic. Przecież to wstyd, że mamy takiego czytelnika. I na Boga, nie zwracajcie uwagi na te zarzuty. Jeżeli dalsze książki klubowe będą równie „dobre", jak pierwsza — rokuję Wam wielką przyszłość. Bo „Pożegnania" są dobre. To obiektywnie. A subiektywnie, dla mnie „Pożegnania" są dobre z plusem. Tym zaś, którzy psioczą, odpowiadam: Nie możemy wydawać tylko autorów zagranicznych, trzeba także wydawać nowych polskich. A w tym wypadku kogo wydawać? Kogo jeżeli nie Nałkowską, Andrzejewskiego i Dygata? Gdzie są te książki ze społecznym akcentem których domagają się dyskutanci? Niestety, mam wrażenie że znaleźliby społeczny akcent i „duszne" zadowolenie w utworze p. Eli Wachnowskiej - Thun pt. „Alarm dla miasta Warszawy". A Dygat zostałby na lodzie, bo używa nieprzyzwoitych słów i zbyt lekko traktuje zbiegłe po powstaniu z Warszawy arystokratki. Płakać się chce i tyle. A ty, zacny „Klubie Odrodzenia" nie przejmuj się tym. Nie pozwól sobie zawrócić głowy obskurantom. Patrz na wzrastającą liczbę członków i pamiętaj o niezwykle mądrym powiedzeniu: „nie rzucać pereł przed wieprze"! Życzę dalszej takiej samej, a na pewno owocnej pracy.

W. Szymański (Nr leg. 1966)

OD REDAKCJI

Publiczna dyskusja członków klubu „Odrodzenia" na temat książki Dygata „Pożegnania" jest dalszym ogniwem akcji nowego, bliskiego kontaktu między twórcą—pisarzem, a odbiorcą — czytelnikiem. Ujawnienie prawdziwego, nieklamanego oblicza masy czytelniczej w Polsce wtedy gdy z jednej strony tu i ówdzie poziom wypowiedzi dowodzi półanalfabetyzmu kulturalnego, w innych zaś, liczniejszych wypadkach świadczy o wielkim zrozumieniu dla pracy pisarza pozwoli, stopniowo i systematycznie szkolić krytyczny stosunek czytelnika do książki.

Skoro zadaniem dyskusji jest ujawnienie nieklamanego oblicza czytelnika — należy spokojnie przyjmować i takie głosy, jak na przykład wypowiedź jednego z klubowców w sprawie twórczości Nałkowskiej. Pozycja Zofii Nałkowskiej w literaturze polskiej jest bezsporna, i wpływ jej na kształtowanie się rozwoju naszej literatury nie ulega żadnej wątpliwości, natomiast przełamywanie się literatury w wielkiej, różnorodnej i różnopoziomowej masie czytelniczej jest jeszcze w Polsce niewiadomą. Poznać ją można jedynie poprzez wypadkową naszych wypowiedzi i niecenzurowanych przez redakcję głosów.

Akcja wieczorów autorskich, bezpośrednich badań czytelnictwa na wsi, dyskusji publicznej na łamach pisma literackiego gdzie głos mają autorzy i czytelnicy i wreszcie zgromadzenia — dyskusje na temat książek klubowych, które wkrótce będziemy organizować — są skutkiem podstawowego założenia nowoczesnej organizacji jaką jest „Czytelnik".

Praca „Czytelnika", jako wydawcy nie kończy się z ukazaniem dzieła na rynku. Wtedy ona się dopiero zaczyna.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca



Siedzieli długą chwilę w milczeniu, zapatrzeni w migotanie płomienia na kominku. Pokój tonął w mroku. Okno zasłonięto papierową roletą. Za oknem była noc styczniowa ściśnięta od przymierającego mrozu, czarna i cicha.

Sędzia Nahorayski nie potrzebował unosić zasłony, znajomy krajobraz tkwił jak piekący okruch pod powieką. Czwarta zima. Poza murem warowni z czapami śniegu otwierał się siny rów doliny, ściana skalna porosła grzywą lasu zamykała widok. Ponad nią a górną krawędzią okna, na wąskiej szparze nieba drgały gwiazdy.

Dobrze jest wpatrzyć się w zmienne skoki płomienia i tkwić tak w drętwym półśnie. Drzewo dopalało się słabymi westchnieniami, przepalone szczapy kruszyły się bezszelestnie. W pokoju była cisza rozwieczonego wieczoru.

Znów minął dzień.

Pani Janina lubiła te chwile pozornych zamyśleń niedokończonych obrachunków i zabiegów przedsennych. Popatrzyła na męża z czułością. Siedział blisko, mogła go ręką przygarnąć. Głowę, której tak dobrze było z przedwczesną siwizną, trzymał wspartą na splecionych dłoniach. Od palców padał cień na twarz. W blasku ognia, zdawało jej się, że dostrzegła uśmiech na jego wargach, zgadywała — musi pewnie myśleć o nas, więc sama uśmiechnęła się z czułością. Podkuliła kolana, prawie klęczała na fotelu, powolnymi ruchami wyjmowała szpilki z włosów, kładła je uważnie na oparciu. W pewnej chwili rozplecione włosy obsunęły się falą, przelały przez palce i poręcz fotela, strącone szpilki zadzwoniły cienko na kamieniach posadzki.

Sędzia odwrócił głowę. Długoletnia tresura nakazała mu pochylić się i zbierać je niechętnymi ruchami. Pod leniwymi palcami czuł chłód bijący od piwnic.

— Te pokoje są nie do opalenia, — powiedział, rzucając na ogień polano. Ale zaraz pomyślał, już uśmiechnięty — na przyszły rok nie będę się tym martwił. Nie, nie dam się tu przywiązać. — Wyciągnął nogi w stronę ognia. Oparł się wygodnie i krytycznie przyglądał się żonie.

Twarz jej była biaława mimo odblasku, który różowiał na ciemnych włosach. Brwi miała grube, policzki obrzmiałe lekko, jakby z bezsenności.

Pewno ją Stynka zamęcza, nie daje jej spać nocami, pomyślał bez współczucia. Chciała mieć dziecko w taki czas, niech cierpi. — Znów przytyła ostatnio, — pomyślał niechętnie spoglądając na zgiętą nogę żony, która w tym skrócie rozszerzała się nieprzyjemnie.

Wilgotna szczapa spłynęła śliną i kąsana płomieniem piszczała cienko. Ta nuta ledwie uchwytna, jak głos komara drążyła rozległą ciszę pokoju.

Czy można jednego dnia obudzić się i wstać z miłości słabym i kapryśnym jak po chorobie. Wszystko, co dotąd było mu miłe i zbliżało, troskliwość i przelotna pieszczota drażniły go teraz i niepokoiły. Stawał zaskoczony i patrzył na nią jak na osobę nieznaną, która dzięki jakiejś pomyłce nagle zjawiła się u jego boku. Na całe życie. Na całe życie... Miało to w sobie coś z grobowego napisu. Gdy żona natrafiła na jego wzrok bezlitosny, podchodziła ufna, pewna, że budzi w nim dawne uczucia. Opierała się o niego nie czując jak drewnieje. Wtedy gładził jej włosy, dawniej wydawały mu się piękne, dziś rozlewały się po poduszkach, łaskotały policzek, właziły do ust. Właściwie nie głaskał jej, tylko uciskał dłonią, nie całował w czoło, ale odtrącał suchymi wargami i odchodził szybko. Zostawała spokojna, że nadal nim włada.

Przyjrzał się jej, długie czarne włosy. Był czas, gdy czuł, że jest o nie zazdrosny, tyle im chwil poświęcała, tak lubiła się nimi bawić, układała je w fale przed lustrem, próbując coraz to innych fryzur. Często już zasypiał, a ona mimo chłodu siedziała jeszcze na wpół rozebrana, słyszał trzeszczenie iskierek, pasma włosów wzbijały się za grzebieniem, ulatywały... Czesanie zamieniało się w zabieg magiczny.

— Dobrze mi jest z tobą — powiedziała Janina cicho, — cieszę się zawsze na tę chwilę, cieszę się, że tylko o nas myślisz.

Mówiła bardzo powoli, trochę sennie. W obie dłonie zgarnęła włosy. Słyszał wyraźnie zza uchylonych drzwi tykanie dużego zegara w gabinecie..

— Wiesz, że choć drżę o ciebie, często błogosławię tę wojnę... Nigdy przedtem nie byliśmy tak mocno razem.

Milczał z przymkniętymi powiekami, na wargach drgał mu odblask płomienia.

— Jesteśmy już tylko dla siebie. Tam nas nie potrzebują — pokazała na zasłonięte okno. — Dopiero jak się wszystko skończy wyruszymy znowu. Zobaczysz, będziemy sobie przypominać... Lubię pielgrzymki do tych miejsc, gdzie byliśmy szczęśliwi. To wzmacnia we mnie wiarę...

Po raz pierwszy zdradzała swe plany, osaczała nimi przyszłość męża. Jednak on już wyboru dokonał. Słyszał jeszcze jej głos, ale z tak daleka jak szum morza w muszli. Opuściła czoło, włosy przysłoniły jej twarz jak ciemna zasłona.

— Dziś z Gabrynią rozbierałam choinkę. Wiesz, chyba nigdy nie byłam tak szczęśliwa jak tego roku. To była krótka chwila... Ale dla takich chwil się żyje. Ty nawet nie wiesz o czym mówię. Pamiętasz w Trzech Króli wieczorem, goście już pojechali, dzieci nie chciały iść spać, bawiły się pod choinką. Przyszedłeś z parku pachnący mrozem, patrzyłeś na mnie, byłeś zły, że się śmiałam z dziećmi. Chciałeś krzyknąć i nie krzyknąłeś. Cały wieczór wytrzymałeś nowinę. Nie chciałeś mi go zepsuć wiadomością o rabunku. A ja o tych świniach już wiedziałam i też nie powiedziałam, żeby cię nie martwić. Wtedy zrozumiałam, jak bardzo się kochamy. Zobaczysz, gdy to wszystko się przewali...

Głos jej sycił go niepokojem i niejasnym wzruszeniem, ale był już na tyle daleko, by nie ulegać urokowi godziny. Widział w żarze podsuwany mu przez nią obraz, jak podpatrzone za oknem cudze szczęście; nie cenił go, ani nie pragnął dla siebie.

Tylu ludzi przepadało w tej wojnie — nie ginąc jednak. Wiedział, że najbliżsi godzą się łatwiej ze śmiercią, niż mogliby przystać na myśl, że odszedł od nich i ośmiela się żyć gdzieś inaczej, z dala, może nawet szczęśliwy. Już o niejednym ze znajomych mówiono: poległ, zabito go, przepadł, a potem okrężną drogą docierała niezupełnie pewna wiadomość, że widziano ich mieszkających gdzieś, często za granicą, chodzących ulicami obcych miast, uśmiechniętych, odmłodzonych w towarzystwie kobiet, z którymi jeszcze raz zaczynali życie.

Sędzia jeszcze nie miał upatrzonej towarzyszki, nie wiązał się żadnym romansem. Może i to opóźniało zniknięcie. A jednak tyle się otwierało możliwości, młode dziewczęta dawały mu wyraźnie poznać, że po prostackich rówieśnikach, budzi zainteresowanie i zaciekawia je swą uprzejmością i niedzisiejszą galanterią. Na razie chciał być tylko wolnym. Krył się ze swoim planem, nie chciał żadnych obciążeń. Życie ma biec bez zmian do chwili, gdy linia frontu przesunie się poza dolinę Siniawki, wtedy wyjdzie z domu bez czapki, wsiądzie do pierwszej ciężarówki i utonie w fali taborów.

O ile sprawy z żoną uważał za przecięte, to córeczek jeszcze nie chciał się wyrzekać, zachowywał sobie możliwości jakiegoś powrotu, mimo, że go dzieci niecierpliwiły, dogadzał im, pieścił jakby chciał się wkraść w ich pamięć i serca. Łatwo być dobrym jeśli ma się przed oczami nieustannie ten dzień, który będzie kresem wszystkiego, więc i dobroci także. Zmienię się, będę zupełnie inny — myśli sędzia z dreszczem niepokoju — nawet samemu trudno będzie mi się poznać. Czuje w sobie złe instynkty i zdaje mu się, że poddanie im się dałoby mu piekielną rozkosz, więc z wdziękiem dogrywa rolę kochającego męża, z zadowoleniem artysty formuje siebie w pamięci otoczenia, stwarza się każdego dnia, wie, że pamięć jest nietrwała, jednak czas powinien jego obraz oczyścić jeszcze i rozjaśnić.

— Czy nie jest ci chłodno Ludwisiu?

— Nie — potrząsnął głową.

Drażniła go troskliwością. Posądzał żonę o pewne wyrachowanie. Wątłe zdrowie, skłonność do przeziębień, jakie mu wmawiała, miały go odgrodzić od niebezpieczeństw, od zetknięcia z ludźmi z zewnątrz, poza urzędowaniem, od zbliżenia, które by wciągało i wytwarzało jakieś zobowiązania. Ludzi przychodziło dosyć, jedni od strony podjazdu, jawnie i hałaśliwie, drudzy od parku łączącego się z lasem przemykali się na kuchenne schody. Żona wszystko załatwiała sama, były to sprawy, którymi po części gardził, nie godne jego uwagi. Chętnie przystawał na tę osłonę. — Pozwól, że ja ich spławię, — mówiła uśmiechając się, by nie czuł się dotknięty, że za niego decyduje. — Wiesz, że łatwiej się z nimi potrafię dogadać...

Czasami, gdy trafiał na taką rozmowę, pani Janina odprawiała go niecierpliwym skinieniem ręki, zatrzymywała już na progu i przeprosiwszy gościa, który czekał nastroszony, chowając zabłocone buty pod fotelem i przyglądał się Sędziemu ciekawie, ale wyraźnie bez sympatii, spieszyła z wyjaśnieniami: — Wybacz Ludwisiu, będziesz nam przeszkadzał. Przyszli w sprawie buhaja. Ciebie zawsze te targi śmieszą a mnie tylko w ich oczach dodają powagi.

Zresztą bywały i sprawy ważniejsze, kogoś aresztowano, to znów konie wyznaczono do szarwarku nad Sieniawką, to kontyngenty... Nudziły go te wizyty, wzruszał ramionami i szedł do biblioteki czytać klasyków w oprawach półskórkowych, z miło wytartymi złoceniami.



Właściwie żona troszczyła się o cały dom, pozostawiając mu jakąś nieokreśloną przyszłość, w której miał przejąć jej obowiązki, i kłopoty. Jedynie gdy przyjeżdżali Niemcy, Sędzia stawał się niezastąpiony. Na krzyk ich odpowiadał niedbałym szeptem, choć sam też głos podnieść potrafił, więc i oni cichli, onieśmieleni jego pańskością. Dawał im zawsze odczuć kto tu jest jeszcze gospodarzem. Umiał ich zmusić do trzaskania obcasami, salutowania i przymilnych uśmiechów.

Tymczasem pani Janina przygotowywała paczki, a stara Walercia ciskała je z odrazą na siedzenie auta. Szoferzy, którzy dotąd spacerowali po podwórzu, zaglądali do kurników, zjawiali się zwabieni. Wydłubywali dziurkę w papierze zwęszywszy rozkoszną woń wędzonych kiełbas, nieruchomieli przy kierownicy pełni zazdrości.

Zwykle przy pożegnaniu Niemcy zgnębieni monoklem, zwracali się już pełni uszanowania — Herr Graf.



Już piąty rok prowadzi sędzia Nahorayski życie właściwie bardzo jałowe. Może z gnuśności marzy o ucieczce, czując jak rozkładają się w nim resztki energii.

We wrześniu, w czasie oblężenia Warszawy, bomby uszkodziły tak ich willę na skraju Mokotowa, że nadawała się tylko na rozbiórkę. Wtedy pani Janina zadecydowała, że wyjadą do Suchowód, by tam rok wojny przeczekać. Wyjechali z pewnym ociąganiem, właściwie wojna zapowiadała się na tak krótką, że postanowili ją potraktować jako przeciągające się wakacje.

Suchowody zakupił ojciec pani Janiny. Chciał w ten sposób dopełnić świetność partii, jaką zrobiła wychodząc za człowieka nie tylko z dobrym nazwiskiem, przystojnego i majętnego, ale i cenionego już naukowca, w wąskim kręgu swojej specjalności, mówiono też, że otwierały się przed nim jakieś możliwości kariery dyplomatycznej.

Zameczek, historyczna siedziba Awdańców, herby ich jeszcze widniały nad bramą wjazdową, wymagał poważnych wkładów. Oczywiście nie było mowy o tym, by można go było doprowadzić do dawnego stanu. Sędzia próbował ratować mury gospodarskim sposobem, zmienił częściowo pokrycie dachów i oszklił opuszczone, rujnujące się już skrzydło. Prace konserwacyjne wciągały go powoli, sięgnął nawet po jakieś niewielkie zresztą kredyty. Wreszcie widząc, że sam nie podoła, bo resztówka obejmowała trochę młodego lasu, i kwaśne łąki na Mokronosie, więc trudno tu mówić o rentowności zapuszczonego folwarczku, żeby pozbyć się kłopotliwego wiana założył jeszcze na rok przed wojną towarzystwo akcyjne. Udało mu się dzięki zręcznie aranżowanym polowaniom znaleźć udziałowców spośród przyjaciół teścia, zetknąć ich z młodymi architektami, entuzjazmującymi się odbudową.

Droga do miasta była niedaleka, świeżo ukończono regulację Siniawki, a malownicza dolina ściągała w każdą niedzielę tłumy. Postanowiono więc, mimo że na ten rodzaj dochodu niezbyt liczono, przystosować wewnętrznie zameczek do zamieszkania, przerobić go na miejsce wypoczynkowe dla naukowców, no ostatecznie dopuszczano i inteligencję. Rozległy park łączył się z lasem, ze ścieżki nieznacznie wstępowało się we wrzosowiska, skąd łatwo było wspiąć się na krawędź skalną pełną surowej dzikości.

Komunikacja z miastem była dobra, dwa razy dziennie buczał w dolinie czerwony autobus, kurz wapienny wstawał siwą grzywą, srebrzył drzewa przydrożne i gasił jaskrawą zieleń łąk nad Siniawką. Wystarczyło dojrzeć czerwone pudło wracające z Doboszowa, potem zejść z wieży i spakować się spokojnie. Zanim wtoczył się na lekkie wzniesienie i przejechał obie pętle rzeczki, już się czekało z walizeczką przy fosie zamkowej, gdzie łatwo go było zatrzymać podniesieniem ręki.

Sędzia Nahorayski pamięta zapach natłoczonego wnętrza, woń rozgrzanego lakieru, wydechu spalin i kurnika, bo chwiejące się barykady z kojców pełnych kurcząt wspierali chudymi plecami Żydzi z Doboszowa.

Czuje przykry zapach tak wyraźnie, że przerywają się wspomnienia: to kłębek zczesanych włosów skwierczy w ogniu kominka. Sędzia odwraca się i z urazą spogląda na żonę.

— Przepraszam cię Ludwisiu! Przechyla się przez poręcz, dosięga go teraz, przygniata, ciężarem ramienia i pełnej piersi, zatapia falą włosów nagrzanych, pachnących mocno. Wykorzystuje chwilę przeprosin, by go jeszcze raz upokorzyć.

— Nino — mówi, z trudem łapiąc oddech, pogrążony we włosach jak pod powierzchnią wód.

Żona zawisa nad nim, włosy tworzą namiot, a światło przez nie mruga czerwono. I nagle Sędzia odkrywa, że żona czeka na próżno, nie ma jej nic do powiedzenia, ani jednego słowa. Jest tak zakłopotany, jak kiedyś w kościele gdy zapomniał portfelu, a zakrystian sterczał przy ławce, brzękając palcami w tacę. Sędzia przetrząsał wtedy kieszenie choć wiedział, że nie ma drobnych. Zbył wreszcie urażonego kościelnego dobyciem chustki, którą strzepnąwszy podłożył sobie pod kolano.

— Janino daj mi odetchnąć, — poprosił, odgarnął jej włosy, wynurzył się z fotela i odwrócony plecami grzebał długo w palenisku. Ogień powoli dogasał. Przez uchylone drzwi z drugiego pokoju lampa naftowa stojąca na szafce rzucała żółtą plamę zapylonego światła. Podszedł do okna, uniósł zasłony. Wąski księżyc widniał w górnym rogu jakby zaczepiony o zardzewiałą kratę.

— Ciekawym kto naprowadził złodziei, uwinęli się szybko. Cały ten napad jest mi mocno podejrzany. Zastrzelić świnie, wypatroszyć i wywlec na korytach, któreś jeszcze dla nich, jak na zamówienie wyparzyła? Nikt ich nie widział, ani nie słyszał?

— Myślisz, że ktoś z domowników był z nimi w zmowie? Nie podejrzewam nikogo. Nie potrafią na dłuższą metę udawać. Walercia rozpaczała za świniami, jakby to były jej własne... Słyszałam jak spłakana przeklinała złodziei i Jana, choć przysięgał, że nic nie słyszał.



— Ty zanadto wszystkim wierzysz! Zresztą jest ci z tym wygodnie. Najłatwiej zwalić winę na wojnę i partyzantów...

— Wątpię, żeby to byli partyzanci — zastanowiła się pani Janina, przecież wiedzielibyśmy, że znów się po okolicy kręcą!

Sędzia odczekał chwilę. Była cisza. Zegar w niej niechętnie wiosłował. Śpiąca w sąsiednim pokoju Stynka poruszyła się niespokojnie, powiedziała jakieś słowa zmętniałe od snu.

Sędzia przypomniał sobie wieczór Trzech Króli, niedopite wino w kieliszkach, zaczerwienione twarze sąsiadów i pomyślne wróżby — a potem pusty chlew pełny wyprutych jelit, ślady na śniegu gubiące się w parku i bezradne bieganie służby.

— Całą zbieraninę trzyma człowiek pod dachem i nie widzę z nich żadnego pożytku! Czy sądzisz, że taki Tadek nie mógłby nocą parę razy obejść dom, i popilnować trochę?

— Wiesz, że był ranny, jeszcze teraz utyka.

— A ja nie mogę się go nawet doprosić, żeby mi coś przepisał, wystarczy żebym się obrócił, już go nie ma w bibliotece, zato lubi z dziewczętami pogadać, zwłaszcza z Celinką. Dwa dni temu, nie wspominałem ci o tym, upił się z chłopakami z Doboszowa, z najgorszą hołotą!

Sędzia wzburzony odwrócił się gwałtownie i wzdrygnął się trafiwszy na choinkę ogołoconą z ozdób, obcą teraz, mnisio ciemniejącą w kącie. Złapał ją za czub i powlókł przed kominek. Zaczął łamać gałązki i ciskać w ogień. Otrząsane zeschnięte igły osypywały się sucho sycząc, kładły się na posadzce zielonym kręgiem.

Zatrzeszczał ostro płomień, zapachniało w całym pokoju uroczyście: trochę świętami, a trochę kościelnym kadzidłem. Sędzia kłując sobie palce pospiesznie targał gałęzie. Biały płomień miotał się w gardzieli kominka. — W pokoju zrobiło się nagle jasno i pusto.

Sędzia zaczął się mocować z elastyczną drzewiną, odbił krzyżak, oparł drągowinę o podmurowanie kominka i uderzył nogą kilka razy z furią.

Łamał, już nie choinkę, ale własne uczucia, obrazy szczęśliwe, pamięć tego domu — palił gałęzie jak przeszłość!

Trzask obudził Stynkę. Dziecko zawołało cichutko: — Co to? Mamusiu, co tu się tak tłucze? — Potem zapłakała bez łez, wyczekująco.

Pani Janina opuściła stopy, nie szukając pantofli, wciśniętych pod fotel, pobiegła do dziecka.

Sędzia obejrzał się jak złoczyńca, żona przymknęła drzwi za sobą, wykorzystując tę chwilę cisnął i krzyżak do ognia. Nadłamany trzon choinki wsunięty głęboko, pryskał żywicą, smarzył się opornie, aż zapachniało leśnym ogniskiem i smolarnią.

Nahorayski wsparł się o ciepły kamień obmurowania, powoli podsuwał drąg nogą w miarę jak się zwęglał. Serce biło mu niespokojnie jak po biegu! Głęboko oddychał. Słyszał szept żony i łzawe westchnienia zasypiającego dziecka. Nagle przez mury zaczęła przenikać melodia, wznosiła się i opadała powolnymi akordami. Nie odróżniał słów, choć same powstawały mu na wargach. Powtarzał je bezmyślnie: „Wszystkie nasze dzienne sprawy"...

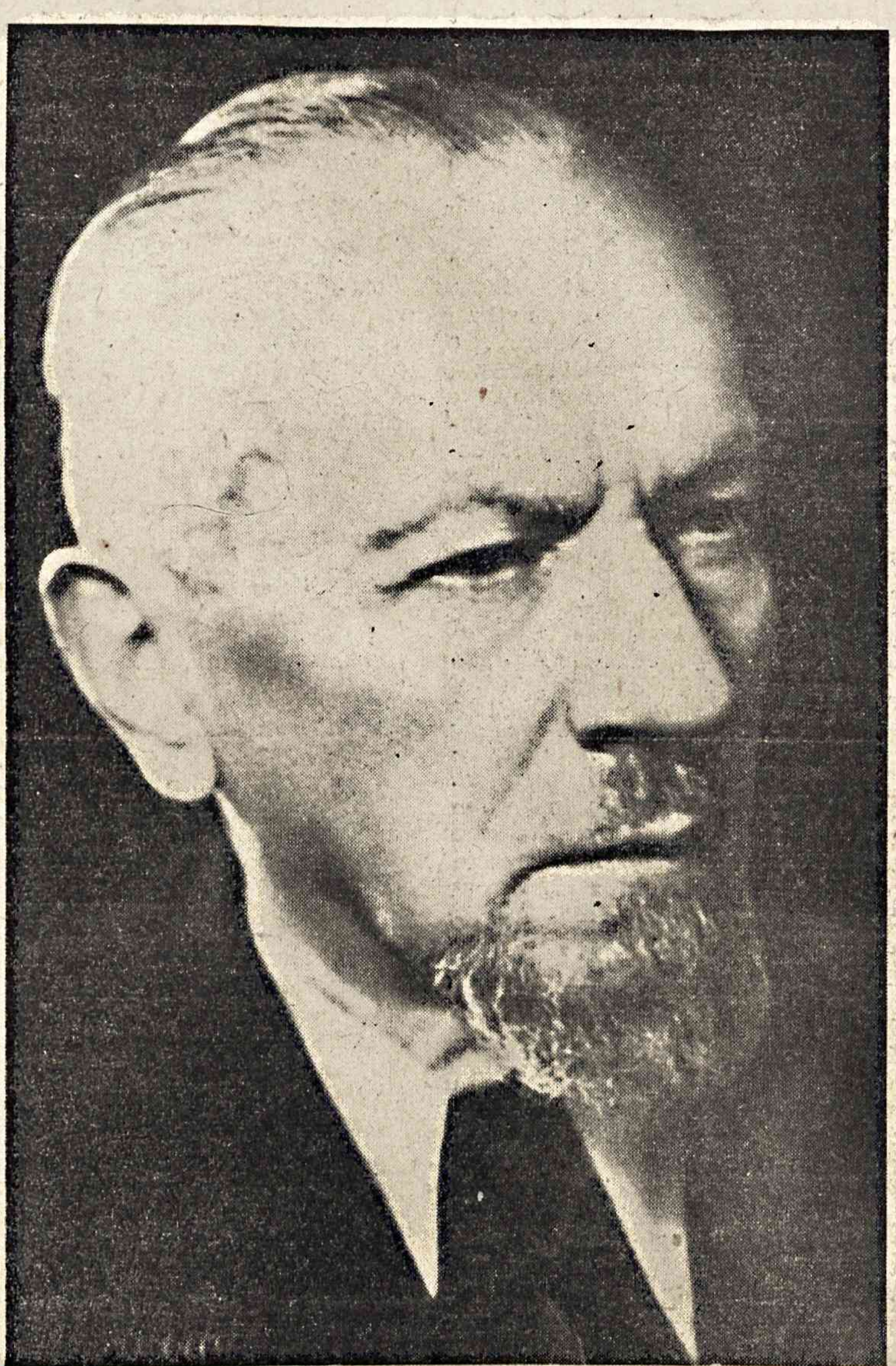
Chwilami śpiew zanikał, to znów powracał falą nalewając się w pokój z wysoka, jasny, harmonijny jak odgłos dalekich organów. To dzieci ewakuowane z Wołynia śpiewały modlitwę przed snem, na lewym skrzydle domu.

Dzieci było dwadzieścia osiem. Najstarsza dziewczynka miała czternaście lat i chętnie zastępowała pannę Celinkę, ze sztuczną powagą strofując młodszych. Ulubieńcem sierocińca był siedmioletni Włodzio Aniserewicz. Bulbowcy obcięli mu obie dłonie. Bawił się jednak wesoło, na pozór nie odczuwał kalectwa. Większość dzieci utraciła rodziców w pamiętnych miesiącach pogromów, kiedy płonęły wioski, a zrozpaczeni osadnicy wojskowi szli z siekierą odpierać zbrojne bandy.

Ostatnio R. G. O. dorzuciło jeszcze garść dzieci z Zamojszczyzny, po prostu kolejarze wykradli je z transportów kierowanych do Niemiec. Te przynajmniej miały szanse odnalezienia rodziny.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Laureat Pen-Clubu



Leopold Staff, znakomity poeta, autor „Snów o potędze", tłumacz, wiceprezes byłej Akademii Literatury obchodzi w roku bieżącym siedemdziesięciolecie swoich urodzin. Otrzymał on w r. 1927 nagrodę państwową za tom liryków pt. „Ucho igielne". Ukazało się zbiorowe wydanie jego utworów w 20 tomach. Pen-Club polski wznowiwszy swoją działalność po wojnie przyznał obecnie L. Staffowi nagrodę za świetne przekłady z francuskiego, angielskiego, włoskiego, niemieckiego i łaciny. Twórczość Leopolda Staffa należy do niezniszczalnych osiągnięć naszej poezji.

Książki · Książki · Książki · Książki · Książki · Książki

PROZA TŁUMACZONA

„12 KRZESEŁ" Ilji Ilfa i Eugeniusza Pietrowa

Powieść. Katowice, Kraków, 1947; str 296, „Książka dla wszystkich".

Wielu przedwojennych czytelników pamięta zapewne tę tryskającą humorem opowieść o zaszytych w obiciu krzesła brylantach teściowej. Pełne nagłych powikłań i niemniej nagłych rozwiązań dzieje hultajskiej pary — byłego marszałka szlachty Worobianinowa i „wielkiego kombinatora" Ostapa Bendera — stanowiły kilkanaście lat temu najmilszą lekturę rozrywkową oraz swego rodzaju katalog ludzkich przywar i śmiesznostek.

„12 krzeseł" — to powieść satyryczna. Nie uważajmy jednak tego określenia za synonim powieści błahej. Śmieszny i odstręczający nie jest tu bowiem „człowiek jako taki", pokazanie tego człowieka nie jest celem samym w sobie. *Postacią komiczną jest człowiek — przeżytek starego społeczeństwa, który nie umie bądź nie może zająć właściwego miejsca w nowym społeczeństwie.* „12 krzeseł" — to powieść obyczajowo - moralistyczna. Napiętnowani zostają oszuści, złodzieje, łapownicy, biurokraci, plagiatorzy, zarozumialcy itp. itd. Ale obyczajowość i moralistyka tej książki jest wyraźnie uwarunkowana konkretną sytuacją społeczną. Złodziej nie dlatego jest śmieszny, że kradnie. Śmiech czytelnika zabija złodzieja, albowiem kradnie on w budującym się społeczeństwie socjalistycznym.

Książka posiada nieskazitelną niemal kompozycję, obfituje w świetne epizody (np. spisek antyradziecki w miasteczku, nagi inżynier na klatce schodowej, licytacja mebli i in.), pokazuje — przy całej swej satyrycznej przesadzie — żywych, codziennie spotykanych ludzi (np. dzikuska Lalusia, poeta Nikifor Lapis, szachiści w Wasiukach). Nieoczekiwane spięcie dramatyczne w epilogu jest doskonale uzasadnione zarówno artystycznie, jak ideologicznie. Artystycznie — bowiem zamyka powieść mocną i zwartą pointą, wyraźnie kontrastującą z poprzednimi rozdziałami i zapadającą dlatego w pamięć. Ideologicznie — gdyż rozwiązanie to jest tylko pozornie tragiczne. Nie udało się *negatywnym* bohaterom, lecz społeczeństwo zyskało. A więc dorzućmy do poprzednich określeń, że „12 krzeseł" — to optymistyczna epopea społeczeństwa.

Książkę wznowiono bardzo na czasie. Szkoda tylko, że miejscami szwankuje anonimowy przekład. Jeżeli wydawcy zamierzają zapoznać czytelnika polskiego z dalszym ciągiem „12 krzeseł" — nietłumaczonym, jak się zdaje, przed wojną „Złotym cielcem", niech sobie wezmą do serca powyższą uwagę.

Wiktor Woroszylski

„CIAŁO I KREW"

Francois Mauriaca w przekładzie J. Hellerowej.

Powieść, Katowice, „Awir", 1947; str. 135 i 1 nl.

Przeczytałem z trudem wydaną ostatnio powieść Mauriaca „Ciało i krew". Poczułem, że oto rozstaje się z tym pisarzem. Niewątpliwie jest to jedna ze słabszych książek sztandarowego katolika francuskiej literatury. Wydaje mi się jednak, że na niej właśnie — tak słabo pokrytej „ciałem i krwią" wielkiego talentu tego pisarza — najlepiej studiować można anatomię jego dzieł w ogóle. Anatomię dzieł i postaci — ludzi z głowami w kształcie krzyża. Odczłowieczająca perspektywa święci swoje tryumfy. Gdy kochana przez młodego szlachetnego chłopca, niedoszłego kleryka, dziewczyna May „zdradza go", wychodząc zamąż za Marcela, jakby mimochodem dowiadujemy się że ojciec jej „zaraz zajął się kontraktem. Marceli zobowiązywał się pozostawić majątek swej żony w przedsiębiorstwie handlowym". W intencji Mauriaca, dziewczyna, dotąd hugonotka, tak czy inaczej wybiera przez małżeństwo „łaskę" — nawrócenie na katolicyzm. Dokonuje się ona w łożu młodego fabrykanta, a nie na ziemi obok chłopskiego syna, niedoszłego kleryka. Mauriac daje cienką nić intrygi motywującej, psychologicznie nietrafnie takie rozwiązanie. Z całej książki jednak wybrałem jedno zdanie zagubione wśród opisów natury (świetnych!), stanów duchowego „nawiedzenia" i rozterki. Zdanie to w sensie artystycznym nie miało prawie nic do roboty w świecie mauriacowskich ludzi absolutnych — poszukiwaczy Boga, a przecież w świecie człowieka „homo economicus", wykształconego przez kapitalizm, ono właśnie, wbrew woli autora, zadecydowało o wszystkim.

Kto chce poznać dawnego Mauriaca z jego pasją kreślenia płaskich dusz z mieszczańskiego kłębowiska żmij, niech jednak książkę przeczyta. Należy zapamiętać wymienione wyżej słowa o kontrakcie małżeńskim. Niech się też zamyśli nad ostatnim powiedzeniem powieści, gdy to druga bohaterka książki Edyta, uciekając od ciała kochanka, który popełnił samobójstwo, „odpędzała jak muchę ze swych myśli to krótkie zdanie, które ją prześladowało:

— Jeżeli mężczyzna zabił się z twego powodu, to twoje powodzenie jest zapewnione, mój skarbie".

Roman Bratny

Szkoła krytyków

Wpływ pochewki czubka kiełka na wzrost kłoska

Powróćmy do tego młodzieńca sprzed tygodnia, który zaczyna studiować chemię. Osobnik, który zespół słówek a m i d   k w a s u   b e n z o e s o w e g o *wyrzuca z ust tak sprawnie jak dzieci w zabawie swoje — entliczki-pentliczki, czerwone stoliczki, przed słowem prekursor lub paseista staje osłupiały i powiada — nie pojmuję. Zbyt trudne.*

Ów imaginacyjny młody chemik jest w tej mierze osobnikiem typowym. O ile naukom ścisłym każdy dzisiaj nadaje prawo do ich języka, a jeśli go nie opanował osobiście, zajmuje przynajmniej postawę rozumiejącego szacunku, to terminologii filozoficznej oraz naukom humanistycznym przyznaje się takie prawo w stopniu niepomiernie niższym. Dlaczego? Powodów jest wiele. Tylko jeden obecnie wymienię, ten bowiem dla postawy przeciętnego człowieka naszej epoki wydaje się chyba najważniejszy.

Przeczuwa on mianowicie, że nie wolno mu np. pomylić piramidonu z pirydyną. Bo jeśli pomyli, zamiast uśmierzyć ból głowy proszkiem, otruje się lub oślepnie, a w najlepszym wypadku zamiast smaku gorzkiej z kropelkami zostanie mu na języku smak politury. Przeczuwa on zatem, że pomiędzy terminem naukowym, a przedmiotem za jego pośrednictwem oznaczanym zachodzi w tych naukach stosunek jednorazowy i nieprzemienny. Tylko ten termin i tylko ten przedmiot odpowiadają sobie. Jeżeli w klasyfikacji zoologicznej ssak, to na pewno z wyjątkiem wielorybów, narwali i delfinów nie łapie się na wędkę.

Inaczej w humanistyce badającej i stosowanej, w polityce, w literaturze. Wszyscy powtarzają to samo słowo realizm, a dogadać się nie mogą. To samo hasło demokracja, a prowadzą zimną wojnę. Ponieważ tego przeciętnego człowieka ani ziębią ani grzeją problemy — powiedzmy rozmyślnie coś bardzo fantastycznego! —, transakcentacji przedśredniówkowej pod wpływem tendencji metrotwórczych polskiego sylabizmu, — cenę nieufności płaci kto inny.

Płaci mianowicie terminologia, że tak powiem, h u m a n i s t y c z n o - o r i e n t a c y j n a. *Czyli ta, jaka nie przynależąc specjalnie do zakresu tej lub owej dyscypliny naukowej, stanowi zasób pojęć, bez którego nie można się poruszać w świecie kultury. Egoizm a egocentryzm, apoteoza a afirmacja, konsekwencja, a konsekracja, humanizm a humanitaryzm, to nie są terminy specjalnie naukowe. Są to niezbędne wyznaczniki ogólnej orientacji w świecie kultury humanistycznej. Wyznaczniki wszakże — wniosek podaję za owego zwykłego czytelnika — którymi nie warto widocznie przejmować się z jakąś szczególną uwagą, jeżeli tak niewiele w rzeczywistości wyznaczają w sposób trwały.*

Ale na tym ta sprawa się nie wyczerpuje. Pozostaje jeszcze kwestia ogólniejsza, zależna nie tylko od subiektywnych oporów i nastawień czytelnika. Określiłbym ją jako podatność danego języka na zapożyczenia terminologiczne z obcych języków. Ta podatność w języku polskim przebiega w dziwnie kapryśny sposób. Istnieją u nas dziedziny wiedzy, w których już dawno i skutecznie udało się przeprowadzić całkowite spolszczenie używanej terminologii — tak jest np. w matematyce i geometrii. Istnieją inne, gdzie właśnie próby polskiej terminologii odczytujemy jako skończone dziwactwo. Sięgnijmy dla przykładu do tekstów Bronisława Trentowskiego, mozolącego się przed stu laty nad nową polską terminologią filozoficzną; czegóż tam nie ma: stnienie, prawdoświec, myślini, istniostnienie, różnojednia itd. itd.

Śmiejecie się nad tymi wyrazami? Wpływ pochewki czubka kiełka na wzrost kłoska? Przepraszam, pomysły Trentowskiego wcale nie są gorsze aniżeli prostopadłościan, wielomian, wielobok, a te się przyjęły. Synteza znaczy u Trentowskiego różnojednia. Mogła się była przyjąć! Ta chimeryczna i trudna do przewidzenia podatność na pożyczki językowe wcale się w języku polskim nie ustatkowała. Film dźwiękowy od razu został nazwany dźwiękowcem, ale słowa speaker nie zdołano spolszczyć. Na biedną gilzę czy tutkę, gilzę w Warszawie, tutkę w Krakowie, ogłaszano specjalny konkurs — bez rezultatów.

Naturalnie spolszczenie nie daje jakiejś automatycznej gwarancji, że wymieniwszy terminy usuniemy tym sposobem wszelkie trudności rzeczowe. Nareszcie powracamy do tytułu na tydzień bieżący. Przez kilka tygodni za okupacji bawiliśmy się jako wyjątkowo uroczym nonsensem tymi kilkoma słowy — wpływ pochewki czubka kiełka na wzrost kłoska. Czy to nie brzmi, jak owo słynne zdanie, o które Irzykowski ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem wodzili się za głowy: i przemienił w kataralapaksę bykołaków nicość... Tymczasem ten nonsens ma zupełny sens.

Drodzy moi! To jest autentyczny tytuł, nie zmyślony, rozprawy, bodaj magisterskiej, z dziedziny rolnictwa. Posłuchajcie uważnie: wpływ, — to jasne, oddziaływanie, wpływ. Wpływ pochewki czubka kiełka. To znaczy, że roślina, w naszym wypadku zboże kiedy wschodzi, czyli kiełkuje, wypuszcza kiełek. Naturalnie czubkiem do góry, korzonkiem w dół. Ten czubek ma pochewkę, grubszą lub cieńszą. I teraz doprawdy nie wiem, ów uczony magister nauk agronomicznych dopiero problem rozstrzygnął. Bo ta pochewka wywiera jakiś wpływ na późniejszy wzrost kłoska. Być może, że jeśli jest gruba i mocna, chroni kłosek przed przedwczesnym zetknięciem z dotkliwościami klimatu i gleby, być może, że przechowuje jego ładunek energii i pozwala mu wybuchnąć dopiero wówczas, kiedy źdźbło jest wysokie. A być też może wprost przeciwnie — że taka zbyt gruba pochewka przyszłemu kłoskowi właśnie przeszkadza. Może właśnie nie umie się on przedrzeć przez tę zaporę i rośnie niedorozwinięty, niewyzwolony z dziecinnego kompleksu?

Czy było tak, czy było inaczej, dopiero uczony magister rolnictwa rozstrzygnął. W każdym razie w tym fantastycznym tytule mieści się „problem" naukowy mocno tajemniczy, chociaż w całości powiedziany po polsku. Tylko zarażony egzystencjalizmem rolnik wolałby tytuł inny: wpływ kamyczka u korzonka kiełka na niebyt kłoska. Wierzcie mi wreszcie, że w każdej nauce roi się od takich czubków kiełka. A w literaturze — ojej, całe łany dzisiaj.

Teraz już naprawdę, na ten czubek kiełka przysięgam za tydzień będzie o literaturze. I naprawdę, proszę cierpliwości, kiedy o literaturze się zacznie, ujrzycie, że tak gruby grunt pod malowidło był potrzebny

kjw

POPULARYZACJA LITERATURY

„MIKOŁAJ REJ I RODZIMA KULTURA LITERACKA JEGO CZASÓW" Juliana Krzyżanowskiego

Cykl: Literatura dawnej Polski, Warszawa, „Wiedza Powszechna", 1948; str. 50.

Ukazały się już zeszyty: „U kolebki naszej literatury", „Początki poezji w Polsce", „Jan Kochanowski i humanizm w Polsce". Teraz otrzymaliśmy pięćdziesięciostronicową książeczkę pt.: „Mikołaj Rej i rodzima kultura literacka jego czasów". Wszystkie te zeszyty napisał prof. dr Julian Krzyżanowski dla „Wiedzy Powszechnej". Mają one służyć uczniom, nauczycielom, samoukom, przygodnym czytelnikom, chcącym zapoznać się źródłowo z dziejami naszej literatury lub pragnącym przypomnieć sobie i uporządkować wiadomości nabyte już w lekturze lub szkole. Autor, wybitny polonista, profesor uniwersytetu warszawskiego, w wykładzie swoim przestrzega wymagań programowych. Daje materiał tylko najniezbędniejszy, by nie przeciążać pamięci, ale równocześnie taki, który charakteryzuje epokę, pisarza, rodzaj literacki. Zeszyt, wydany obecnie o Reju i rodzimej kulturze literackiej, zasługuje na specjalne wyróżnienie. Na pięćdziesięciu stronicach znajdujemy w skrócie wiadomości o literaturze humanistycznej tych czasów, o Koperniku, o Erazmie z Rotterdamu, o Machiavellim, Arioście, Tassie, Castiglionem. Profesor Julian Krzyżanowski umiał zręcznie i przejrzyście podać materiał historycznie ważny, uwypuklając postać autora „Postylli". O Reju napisano bardzo dużo. Prof. Krzyżanowski potrafił uniknąć utartych ogólników, trzymając się mocno tekstów i wiadomości biograficznych. Bardzo wartościowy jest wybór utworów Reja. Ma to znaczenie dla nauki. Zaciekawiony czytelnik otrzymał przy tym wskazówki i pytania co do podstawowych zagadnień twórczości Reja i jego epoki. Wyimki z wizerunku M. Reja, napisane przez A Trzecieskiego i bisk. Józefa Wereszyckiego, wnoszą duże urozmaicenie w wykład. Szczególnie biskupie uwagi o twórcy „Figlików" budzą zaciekawienie. Imć pan Rej gdy „trafił do kogo na łotrowskie piwko, to pił, aż mu w karku trzeszczało"...

Zeszyt ten jest ozdobiony licznymi ilustracjami.

„Mikołaj Rej i rodzima kultura literacka jego czasów", praca pióra prof. Juliana Krzyżanowskiego, powinna być czytana i przez miłośników pięknego słowa. Będzie to lektura literacko-instrukcyjna.

Franciszek Wierzynek

„25 LAT LITERATURY NA ŚLĄSKU"

Zdzisława Hierowskiego

Katowice — Wrocław, Instytut Śląski, 1947; str. 208.

Wydana obecnie przez Instytut Śląski książka Zdzisława Hierowskiego pt. „25 lat literatury na Śląsku" posiada duże zalety popularyzacyjne. Dostępna jest ona przez swoją formę, słownictwo, układ dla każdego czytelnika. Nie przynosi ona co prawda nic takiego, czegoby nie wiedzieli ludzie interesujący się piśmiennictwem polskim. Systematyzuje za to materiał dotyczący Śląska w sposób przejrzysty. Mamy omówione utwory rodowitych ślązaków, jak i pisarzy z innych dzielnic, którzy napisali jakąś rzecz literacką o tej prastarej naszej dzielnicy. Zdzisław Hierowski podaje też informacje biograficzne o poszczególnych pisarzach. Nadmienić należy, iż posiadaliśmy już dwutomowe „Dzieje piśmiennictwa śląskiego" Wincentego Ogrodzińskiego. W pracy tej brak młodszego pokolenia pisarzy śląskich. Zdzisław Hierowski uzupełnił tę lukę i ograniczył zasięg swojej książki do dwudziestu pięciu lat. Jest to więc jak gdyby przegląd wydarzeń literackich ostatniego ćwierćwiecza na Śląsku. Nie cały Śląsk dostał się nam po pierwszej wojnie europejskiej. Nieprzyłączone obszary odczuwały już zaplecze niepodległego państwa polskiego. Trzeba to uprzytomnić sobie, gdy czytamy książkę Zdzisława Hierowskiego. Napotykamy tu przecież nazwiska pisarzy, tworzących pod niemieckim i innym panowaniem. Liczba ich jest duża.

Autor informuje, iż „lata wojny i niewoli rozproszyły literatów śląskich, oderwały ich od środowiska". Przez te sześć lat nie ukazał się żaden nowy talent w tej dziedzinie. Józef Ryszka zmarł niebawem. On to jedyny prawie pisał na Śląsku podczas hitlerowskiej inwazji. Osmańczyk, Kubisz, Szewczyk, Jesionowski, Baranowicz, Bednorz schronili się na teren General-Gouvernement. Fika Niemcy rozstrzelali.

Obecnie na Śląsku życie literackie i kulturalne powoli a stale zyskuje na sile i na zasięgu. Przesiedliło się tu kilku pisarzy z innych dzielnic. Zapewne jest tu do odrobienia i zrobienia bardzo wiele. Książka Zdzisława Hierowskiego jest najlepszym świadectwem, iż świadomość potrzeb i zadań literacko-kulturalnych jest tu żywa.

Z. Moronowicz

Kartki z dziennika lektury

„Kościuszko — choć był szewc"

W jednej ze scen „Wirów", wspomnianej już w poprzedniej „Kartce", doktór Szremski daje panu Grońskiemu i rejentowi Dzwonkowskiemu dwa przykłady z życia świadczące, że wszelkie obawy przed rewolucją społeczną w Polsce są zbędne. Jako pierwszy przykład posłużył sąsiad doktora z sutereny, ślusarz, który przestał być socjalistą, gdy się dowiedział, że socjaliści „nie wierzą w Boga i Polski nie kochają". Ta historyjka mimo swego niefrasobliwego posmaku anegdoty wspierała się o silne zaplecze polityczne i światopoglądowe.

Drugi przykład doktora Szremskiego również ukazuje perspektywy dość rozległe. Oto on: w pewną niedzielę kilku robotników udało się do podmiejskiego lasku na tzw. majówkę. W lesie wyjęli czerwony sztandar i poczęli śpiewać. Jedna z piosenek była następująca:

Kościuszko — choć był szewc,
Oj dobrze Niemców kropił!
Oj, dobrze Niemców kropił!
Tylko wielka szkoda,
Że się nam utopił!
Tylko wielka szkoda,
Że się nam utopił!

Doktorowi Szremskiemu (czytaj Sienkiewiczowi) nie chodziło oczywiście w tym wypadku o zbyt prostacką i naiwną sugestię, jakoby ludzie stojący na niskim poziomie kulturalnym w ogóle nie zdolni byli do brania udziału w rewolucyjnym przewrocie. „Wiry" zostały pomyślane, jako powieść polityczna. Sienkiewicz okazał się dość dobrym demagogiem, aby wyciągać z drobiazgów daleko idące wnioski. Ci robotnicy, śpiewający w lasku o Kościuszce — szewcu, są w oczach doktora Szremskiego ludźmi równie prostymi i z gruntu dobrymi, jak ów ślusarz kochający Boga i Polskę. Lud jest poczciwy. Źli natomiast są tylko jego prowodyrzy, owi niebezpieczni mąciciele porządku społecznego, spragnieni krwi i zniszczenia, niecnie wykorzystujący naiwność i głupotę pospólstwa.

W tak uporządkowanej rzeczywistości doktór Szremski urasta do rozmiarów obrońcy ludu. Któż bowiem, jeśli nie on, ożywiony ideami pozytywnej pracy, ma bronić lud przed niszczycielską działalnością Laskowicza i jemu podobnych? Odejmując ludowi prawo do świadomego działania i prawo do odpowiedzialności, spycha się go tym samym do roli biernego podmiotu historycznych wydarzeń. Cóż za znakomity sposób rozbrajania! Na widowni zostaje zatem tylko Laskowicz, jedyny człowiek, który reprezentuje w „Wirach" obóz rewolucji — młody student, pełen urazów i zadrażnień, neurastenik z kompleksem niższości, ciasny fanatyk, a na dodatek chorobliwy erotoman. Prawda, jest jeszcze służąca panny Anny, demoniczna Polcia, która chcąc się zemścić na swojej dawnej pani, dopomaga Laskowiczowi i pozwala nawet do siebie mówić: towarzyszko. Na postaci Laskowicza i na wydarzeniach przez niego sprowokowanych (śmierć Maryni Zbyłtowskiej z rąk podburzonego tłumu) „Wiry" gwałtownie się załamują, stając się w dalszych partiach drugiego tomu trywialnym kiczem.

Myślę jednak, że to nie postać Laskowicza przyczyniła się do skrzywienia powieści. Laskowicz, wobec którego Azja Tuhajbejowicz wydaje się sympatycznym i nieszkodliwym chłopięciem, bardzo konsekwentnie wyniknął z założeń myślowych Sienkiewicza. Doktór Szremski jest jego duchowym ojcem, ponieważ obóz ideowy, do którego doktór przynależał — endecja — także posiadał swoistą i dobrze swoim celom służącą dialektykę. Jeśli dobry, oszukany lud śpiewa: „Kościuszko — choć był szewc...", prowodyrem jego musi być „czarny charakter", Laskowicz. I nie jest sprawą przypadku, że spośród licznych ówczesnych książek, poświęconych latom rewolucji, dwie powieści dwóch dużej miary prozaików odsłoniły rysy artystyczne szczególnie dotkliwe: Sienkiewicza „Wiry" i Józefa Weyssenhoffa „Hetmani". Fałszywa ocena rzeczywistości automatycznie powoduje fałsz artystyczny. I cóż za przewrotność losu: z dwóch małych anegdotek doktora Szremskiego tyle powikłań wyniknęło! A poza tym — lecz to już dalsza historia nie mieszcząca się w „Wirach" — robotnicy, śpiewający niegdyś w lasku: Kościuszko — choć był szewc...", fatalnie zawiedli pokładane w nich zaufanie dobrego doktora.

Jerzy Andrzejewski

OKRUCHY

Planowanie na odcinku kulturalnym

Włodzimierz Sokorski, wiceminister kultury i sztuki w wywiadzie, ogłoszonym w prasie, wypowiedział swoje poglądy na temat planowania w dziedzinie kulturalnej. Sprawa ta wywołała wśród kół artystycznych pewne nieporozumienie i niezrozumienie. Szerszy ogół też niezupełnie jeszcze uświadamia sobie istotę zagadnienia. Włodzimierz Sokorski powiedział:

„Planowanie kulturalne należy rozpatrywać w dwóch aspektach. — Planowanie twórczości artystycznej, przez właściwą i celową politykę wydawniczą, politykę repertuarową, politykę wystaw sztuki plastycznej i wszystkich innych dziedzin twórczości. Ta dzidzina planowania, która w znacznym stopniu opiera się na wytworzeniu właściwego klimatu ideowego i artystycznego w samych związkach artystycznych i we wzajemnych stosunkach twórcy, państwa i organizacji społecznych, jest niewątpliwie najtrudniejszą i może tylko wówczas dać oczekiwane rezultaty, jeżeli wzajemne zaufanie i zrozumienie między twórcą, a społeczeństwem i państwem będą realizowane zarówno na płaszczyźnie ideologicznej jak i artystycznej.

Wiceminister Wł. Sokorski zastrzegł:

Trzeba sobie jasno i wyraźnie powiedzieć, że bez planu kulturalnego organizacji społecznych nie może być planowania w skali państwowej, a koordynacja odcinka społecznego jest niemożliwa bez jednego ośrodka dyspozycyjnego w dziedzinie polityki subwencyjnej i polityki wydatkowania państwowych pieniędzy na cele kulturalne.

Wypowiedzi te rzucają decydujący snop światła na sprawę, która musi obchodzić szeroki ogół polski.

Pisarze bułgarscy w Polsce

Gościliśmy obecnie w Polsce grupę pisarzy bułgarskich: Elizawetę Bagriana (poetkę), Nikołę Furnadżjewa (poetę), Georgia Karawławowa (prozaika), Kamesa Zidarowa (poetę) i prof. Petra Danckowa. Pisarze bułgarscy zwiedzili nasze ziemie zachodnie. Byli w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Wrocławiu. Prof. P. Danckow jest członkiem bułgarskiej Akademii Nauk. Znany jest wśród slawistów, jako wybitny naukowiec. Literaturze polskiej poświęcił on wiele swoich prac.

Wydanie pism W. Bielińskiego

Znakomity krytyk rosyjski W. Bieliński w literaturze swojej ojczyzny zajmuje stanowisko wyjątkowe. Jako rówieśnik Puszkina oddziałał on niemniej silnie na rozwój kulturalny swego społeczeństwa. Wpływ jego na ruch wolnościowy w Rosji był olbrzymi. W roku bieżącym przypada setna rocznica jego zgonu. Akademia Nauk ZSRR przygotowuje w roku bieżącym pełny zbiór jego pism. Będzie on wydany w 12 tomach. Równocześnie Państwowe Wydawnictwo Literackie wyda „Pisma wybrane" Bielińskiego w trzech tomach. Na użytek szerokich mas ukaże się wybór jednotomowy w nakładzie „Młodej Gwardii".

Ilość teatrów w Polsce

Ministerstwo Kultury i Sztuki podało w statystycznym wykazie, jak ilościowo rozwinął się u nas teatr od 1944 do 1948 r. Niemcy, jak wiadomo, zniszczyli w Polsce życie teatralne. Ze statystyki obecnej dowiadujemy się, że teatrów dramatycznych mamy 43. Pracują przy tym trzy teatry objazdowe. Mamy też piętnaście teatrów kukiełkowych, sześć teatrów rewiowych i pięć teatrów dla dzieci.

Niezależnie od tych czy innych repertuarowych postulatów trzeba stwierdzić, że teatr nasz odbudowuje się szybko. Jeżeli się uwzględni działalność kulturalno - oświatową różnych instytucji oraz związków zawodowych, szerzących zainteresowanie dla teatru wśród klasy robotniczej i chłopstwa musimy przewidywać dalszy wydatny wzrost ilości scen w Polsce. Ważne jest przy tym, że na wsi dobrze rozwijają się teatry amatorskie.

„WYBÓR PISARZY LUDOWYCH"

Stanisława Pigonia

Część I. Pamiętnikarze i publicyści. Wrocław, Zakład Narodowy im Ossolińskich, 1947; str. 304.

Prof. St. Pigoń niedawno opracował „Zarys nowszej literatury ludowej". Przed wojną ukazała się jego praca „Na drogach i manowcach kultury ludowej". W roku 1947 „Ludowy Instytut Oświaty i Kultury" ogłosił książkę jego pióra pt. „Główne problemy literatury ludowej". Obecnie mamy trzystostronicowy „wybór pisarzy ludowych" również jego koncepcji. W tomie tym znajdziemy „pamiętnikarzy i publicystów" od Gaidzicy Jerzego, Deczyńskiego, Pilcha po Witosa, Błyskosza, Nocznickiego, Stolarskiego. Prof. St. Pigoń dał dwudziestu trzech pisarzy-chłopów. Najliczniej reprezentowany jest Jakub Bojko. Wyimki z piętnastu różnych prac tego działacza ludowego zwracają uwagę na „dwie dusze". Bojko w r. 1904 w odpowiedzi na potępienie ruchu ludowego przez biskupa tarnowskiego L. Wałęgę napisał znaną książkę pod takim tytułem. Młodsze pokolenie nie zna tej publikacji. Jest ona znamienna dla rozwoju świadomości i godności ruchu ludowego. Jakub Bojko pisał: „Nasze odpowiedzi niech poświadczą potomkom, jako to ich ojcowie musieli walczyć jeszcze w XX wieku o to, by resztę ducha pańszczyźnianego strząsnąć ze swego stanu. I nie będą mieli żalu do nikogo tyle, jedno do tych synów chłopskich, którzy wykarmiwszy się z torby chłopskiej, zasiedlszy na niezłych stanowiskach, dali się niebacznie użyć za obrzydliwe pomiotło, którym już dziś sama szlachta wstydziła się i wstydzi się zamiatać".

Książka Jakuba Bojki w swoim czasie zrobiła duże wrażenie. Prof. dr St. Pigoń umiejętnie wybrał z wszystkich dwudziestu trzech pisarzy chłopskich takie wyimki, które charakteryzują walkę o wolność, o wyjarzmienie owego stanu z więzów pańszczyzny, upośledzenia społecznego, przemocy gospodarczej. Wyimki z pism Witosa, Stolarskiego, Nocznickiego dają wiele ciekawych zagadnień i oświetleń, ważnych do rozumienia dróg, jakimi szedł nasz ruch ludowy.

Trzeba zaznaczyć, że prof St Pigoń niebawem ogłosi tom drugi tego „wyboru pisarzy ludowych". Wtedy będzie można szerzej omówić jego pracę. Obecnie notujemy tylko ukazanie się tej ciekawej publikacji.

Alekansder Kamiński

Teatr

Czarna plama

Miejskie Teatry Dramatyczne. — „Głęboko sięgają korzenie". Sztuka w trzech aktach **A. d'Usseau i J. Gow.** Przekład i reżyseria **R. Ordyńskiego.**

Sztuka amerykańskiej spółki autorskiej — pp. d'Usseau i Gow — jest naiwna, ale problem, w który wnika nie jest naiwny. Jest to jeden z wielu problemów występujących dziś pod najróżniejszymi stopniami geograficznymi. W istocie ten sam problem w stu wariantach: problem ras niższych i ras wyższych, warstw wyższych i warstw niższych, wyznań wywyższających i wyznań poniżających, problem panów i problem szarej masy.

Osłuchaliśmy się z tym problemem aż nadto dobrze! Tym razem jednak nie chodzi o nordycki jasny włos i wysoki wzrost jako znamiona wywyższające, ale o czarną skórę jako znamię piętnujące. Jednak myśl zasadnicza, która przepaja całą tę aferę jest ta sama, tyle że model jest amerykański. W wariancie amerykańskim spotykamy identyczne, doskonale nam znane argumenty: przedstawiciel rasy niższej jest dziki, jest aspołeczny, najchętniej przez cały dzień by zbijał tylko bąki, jego krew zmieszana z krwią rasy wyższej kazi rasę, on sam nie nadaje się do wyższych stanowisk, nie umiałby się rządzić. To nie nowe!

W wariancie amerykańskim nowe jest jedno: szczerość, z jaką pisarze tego kraju omawiają problem dyskryminacji rasowej. Tej szczerości nadają impet specyficzne warunki amerykańskie: niechęć Północy do Południa, do tego Południa feudalnego, zacofanego, które w najdrastyczniejszy sposób poniża Murzynów. W stosunku do połówki południowej północna połówka uważa się za postępową. I rzeczywiście! Południe ma tendencje do traktowania Murzynów tak, jak pan traktował swoich chłopów przed rewolucją francuską, Północ ma zaś tendencje do traktowania Murzynów tak, jak fabrykant traktował swoich robotników w sto lat po tej rewolucji. Zawsze więc jest postęp! I podstawy do tego, żeby patrzyć z góry na zacofańców z Południa i słuchać z poczuciem wyższości opowiadań o ich sposobach odnoszenia się do Murzynów. Ma zatem do kogo przemawiać literatura promurzyńska! Miliony jej przyklaskują. Zarówno książkom, jak i sztukom. Takie „Korzenie sięgają głęboko" szły na przykład w Nowym Jorku przez cały rok.

„Korzenie" są historią Murzyna, który z drugiej wojny światowej powrócił do swego miasteczka na Południu jako oficer opromieniony sławą. Wrócił po to, żeby walczyć o jaśniejsze jutro Czarnych. Z miejsca jednak popadł w konflikt z Białymi, i to z Białymi, u których się wychował. Podstępnie oskarżony przez patriarchalną rodzinę Langdonów o kradzież, zbity, sponiewierany, zostaje na koniec zmuszony do opuszczenia Południa: jeżeli jeszcze raz ośmieli się zajrzeć do swego miasteczka, nie ominie go lyncz! Musi szukać schronienia na Północy, gdzie korzenie przesądów rasowych sięgają — zdaniem autorów — mniej głęboko.

Sztuka ma swoje zalety: jest ciekawa, żywa, dobrze nas informuje o środowisku, w którym się toczy, i o zagadnieniu, które rozstrząsa. Nie jest dziełem wielkiego natchnienia, ale jest dobrą, rzetelnie i inteligentnie wykonaną robotą. Znać na niej wysiłek, by problem przedstawić z możliwą bezstronnością, nie przekraczając jednak pewnych granic, które szanować musi mentalność amerykańska. Zatem: poprawki w bieżącym stanie rzeczy, owszem, lecz bez żadnych zasadniczych przełomów.

Stąd naiwność sztuki. Tym jawniejsza, z im większym animuszem i z im większym ferworem kaznodziejskim sztuka zachwala różne połowiczne wyjścia z sytuacji i tym podobne półśrodki. W pewnym momencie literat przybyły z liberalnej Północy podaje rękę bohaterskiemu Czarnemu. Gest, którego na Południu nie stosuje się wobec Murzynów. Gest sympatyczny, ale to tylko gest. Tymczasem autorzy amerykańscy każą nam smakować ten *shake hands* jako ważny punkt programu. Za późno! To mogłoby służyć jako ilustracja dobrej woli i uczuć ludzkich w stosunku do Czarnych, poniżonych za czasów owego pradziadka rodu Langdonów, którego portret zdobi ściany domu. Ale nie dziś.

Sztukę zagrano ładnie, szkoda, że w sposób trochę napuszony. Przyczyniło się do tego również tłumaczenie dokonane językiem nieco odświętnym oraz reżyseria. Dobra na Amerykę, gorsza na Warszawę. Bo dla polskiego widza „Korzenie" są inną sztuką niż dla amerykańskiego. Dla Ameryki — to sztuka z morałem, dla nas — to sztuka z egzotyką. Obyczajowa, reportażowa, środowiskowa.

Natomiast w pracy nad aktorem pokazał Ordyński swój pazur. Dla samego *Bay - Rydzewskiego*, jako senatora Langdona, warto pójść na „Korzenie". Cóż za wspaniałego przedhistorycznego mamuta z siebie zrobił. Wyborny był! Tak jak i obie jego córki: **Jasnorzewska** i **Anusiakówna,** zwłaszcza ta druga, która z wielką zręcznością lawirowała pomiędzy biegunowymi stanowiskami, wśród których kazali jej się miotać autorzy. W roli starej matki czarnego bohatera z powodzeniem wystąpiła **Stefania Kornacka.** Pod czarną powłoką i siwym włosem musiała to być jednak młoda osoba. Garbiła się! A w rolach starych ludzi to nieomylny znak, że kreuje je ktoś nie taki znowu leciwy. Jej synem, bohaterem sztuki był **Kazimierz Zarzycki.** Gdyby wszyscy Murzyni mogli się szczycić równie szlachetnymi rysami i pięknym obejściem, amerykańscy przeciwnicy negrów mieliby ciężki orzech do zgryzienia ze stworzeniem kwestii murzyńskiej.

Dekoracje **Jana Hawryłkiewicza.** Na ścianach obrazy przedstawiające wspomnianego już protoplastę Langdonów oraz jakiegoś konia podającego tył. Jeżeli miały wpoić w nas niewiarę w smak artystyczny Langdonów, spełniły swoje zadanie. A nawet kilkakrotnie przekroczyły normę.

Tadeusz Breza

W starym piecu

Miejskie Teatry Dramatyczne. „Dom przy drodze". Sztuka w 5 aktach **J. J. Bernarda.** Przekład **Marii Serkowskiej,** reżyseria **Ireny Ładosiówny.**

Amory podtatusiałych lowelasów ku dzierlatkom są i były, począwszy od Moliera i Fredry aż po sztampową farsę francuską, nieustannym źródłem przedniego humoru i teatralnych nieporozumień. Jean Jack Bernard, syn wielkiego Tristana, znowu do tego tematu sięgnął, sięgnął jednak łapą niezgrabną, włochatą, niedźwiedzią. Trudno bowiem spotkać na przestrzeni wielu lat tak niefrancuską w całej robocie teatralnej i tak ciężką i obcą widowni sztukę — jak ten ostatni „Dom przy drodze", zbudowany z niezrozumiałych powodów na scenie „Miniatur".

Posłuchajcie tylko i osądźcie! Stoi sobie dom przy jakimś większym trakcie, po którym mkną w daleki i obiecujący świat samochody nieznanych ludzi. W oknie komfortowego domostwa całymi dniami wystaje sentymentalna pannica Joasia i tęskni, odgadując w proroczym przeczuciu, gdzie która z luksusowych anglosaskich limuzyn podąża. W tym zajęciu pomaga córce tatuś, który wdał się w Joasię i też tęskni, filozofując od czasu do czasu na temat gospodarstwa i samochodów. Para ta czuje się tu jednak doskonale i o nic ich głowa nie boli, bo gospodarstwem, praniem bielizny, gotowaniem zup i myciem naczyń zajmuje się praktyczna matka, bez której ludzie tęskniący umarliby z głodu. Ale pana Bernarda matka i jej kłopoty nie interesują — i mówi nam wyraźnie: patrzcie państwo co to za córka!!

I rzeczywiście. Przed domem przy drodze jakiś młody malarz wiozący swego papcię powieściopisarza wziął zbyt ostro zakręt, wóz poleciał do rowu i spalił się (walizki i rękopisy ocalały), a chłopaki — szczęściarze w nienagannie zaprasowanych garniturach „wchodzą w życie" tej egzaltowanej pary — taty i Joasi.

Synek powieściopisarza, młody, świetnie odchowany byczuś, w którego talenty malarskie tak ciężko nam uwierzyć, przez pierwsze dwadzieścia cztery godziny nudzi się piekielnie, a potem normalną koleją farsy i dramatu — portretuje pannę, która oczywiście zakochała się z miejsca w swym „królewiczu". Z tatem — powieściopisarzem natomiast jest grubo gorzej. Po pierwsze wszystko mu się tu za bardzo podoba, nawet zupa, której dotąd nie jadał — a najwięcej owa młoda Joasia, którą uczy szelma... pisać na maszynie! Nie ma też ten starszy pan najmniejszego zamiaru wyjechać z tego domu, bo poczuł natchnienie i będzie pisał nową powieść — zapewne o kilkunastoletniej Joasi. W końcu jak przykry, obcy zgrzyt zjawia się ta nieudana, melodramatyczna scenka, w której stary człowiek oświadcza się Joasi, a ta — oczywiste — sądzi, że ojciec prosi ją o rękę dla syna-malarza...

Na szczęście jesteśmy u końca tej kulawo napisanej i źle zbudowanej historyjki. Powieściopisarz powieści nie napisał, gdyż po rekuzie natchnienie go odeszło widocznie. Wszyscy są bardzo smutni i dobrze się stało, że obaj przybysze wyjechali. Uczciwego widza niepokoi tylko fakt, czy obaj artyści przed wyjazdem zapłacili rachunek za bądź co bądź wygodne letnisko.

Na placu boju została Joasia patrząca w okno i jej tato i ich mama, nosząca sama ciężkie koszyki z dalekich sklepów. Ona będzie dalej gotować zupy i prać bieliznę — a oni będą tęsknić i... czekać na następny samochód. Życzymy im wszystkiego najlepszego, ale nie chcemy być świadkami drugiej katastrofy.

Oto i cała intryga i zawiedziona miłość panny Joasi - **Stepniówny,** którą zarząd Miejskich Teatrów Dramatycznych z dziwną perwersją obdarza od niejakiego czasu somnambulicznymi rolami. Uważajcie, bo ta pierwszorzędna artystka zapomni śmiać się szczerze i bez łez. Sentymentalnym safandułą był **Bogusławski,** a wspaniale wnosiła gorącą zupę i promień ożywczego realizmu na scenę — **Wanda Szczepańska. Łuszczewski** nie nadaje się jeszcze do ról powieściopisarzy i lepiej grał lowelasa starej a dobrej szkoły.

Wartość społeczna tej sztuki przejawiła się chyba w tym, że po spektaklu cały szereg mężów stał spokojnie w garderobie paląc papierosy, a żony zostały wysłane z numerkami po płaszcze, niczym ta matka z koszykami po sprawunki.

Józef Słotwiński

Notatnik muzyczny

Najlepsza orkiestra w Polsce

Byłem ostatnio w kilku miastach, kończąc ten objazd na Katowicach. Odbył się tam jeden z koncertów orkiestry Polskiego Radia. Usłyszenie jej jest przeżyciem, które przywraca nas „na muzyki łono". Piszę rozmyślnie „przywraca". Słysząc bowiem ten koncert, miałem wrażenie, że słyszę wreszcie muzykę, wreszcie orkiestrę i że wreszcie oddycham normalną atmosferą sztuki.

I poszczególne grupy i całość orkiestry brzmią jednolicie. Istnieje u nas miejsce, w którym wykonać możemy każdy utwór symfoniczny i gdzie posiadamy normalny produkt każdego kulturalnego kraju: naprawdę dobry zespół.

Jest to zjawisko tak radosne, że nie warto, by ktokolwiek z tego powodu zieleniał z zazdrości, czy złości. Szkoda nerwów. Lepiej się cieszyć i posłuchać jak to brzmi.

Po warszawskich koncertach orkiestry praskiej usłyszałem, jak pewien rozentuzjazmowany dygnitarz państwowy oświadczył, że musimy mieć za 10 lat podobny zespół. Były to arcymądre słowa. Wynika z nich, że przez całych 10 lat musimy pielęgnować cierpliwie i metodycznie jedną i tę samą placówkę. Przez całych 10 lat musimy dokazać tej sztuki, by nie rozbić wspaniałej orkiestry, nie rozwalić wspaniałej placówki kultury muzycznej. Kosztuje to tyle wytrwałości, że nasza wrodzona pochopność wystawiona jest na ciężką próbę.

W wypadku orkiestry Polskiego Radia zjawisko jest jednak tak oczywiste i proste, że wszelkie ataki na tę placówkę są dowodem, delikatnie mówiąc, zaślepienia.

Społeczny, artystyczny i finansowy punkt widzenia, bo wszystkie trzy grają tu rolę, nie wytrzymują dyskusji. Musi istnieć taka orkiestra w Polsce, i pozwólmy jej spokojnie pracować i żyć. Przestańmy eksperymentować, niechże Grzegorz Fitelberg i Witold Rowicki robią to za nas i dla nas dalej, jak dotąd. Dzięki ich pracy z katowickim zespołem możemy przechowywać żywą tradycję muzyczną.

W pokłębionym światku muzycznym zapytywano mnie, czy jestem „Ficiowcem". Termin ten oznaczać ma wyznawców Fitelberga.

Dyrygent ten znakomicie pracuje z orkiestrą i posiada entuzjazm dla sztuki, poparty doświadczeniem, rutyną i pięćdziesięcioletnią blisko, wierną służbą muzyce, muzyce polskiej specjalnie. Należy do typu tych artystów, którzy mają bardzo zdecydowany i bezkompromisowy stosunek do sztuki. Fitelberg dyryguje tylko tymi utworami, które uważa za dobre lub ciekawe. Nie da sobie narzucać programów, odrzuca wszystko „co jest może bardzo dobre, ale czego on dyrygować nie będzie". Jest to stanowisko, które wywołuje dziś nieraz burzę. Lecz Fitelberg reprezentuje pokolenie, w którym artysta był niezależny i mógł służyć tej ideologii i estetyce, którą wyznawał. Chciałbym widzieć co by powiedział Paderewski, Reszke czy Nikisch, gdyby im próbowano narzucać program. Zresztą, programy tych artystów nie były wcale takie złe. Programy Fitelberga też nie są złe. Przewinęła się przez nie olbrzymia większość wszystkich najlepszych dzieł polskiej i obcej literatury symfonicznej. I, jeśli Fitelberg lubi dziś dyrygować utworami Lutosławskiego, Palestra, Szałowskiego, Spisaka czy Szabelskiego ,to wcale tak źle nie wybrał i można darować, gdy się uprze i do programów nie włączy dzieł, które mu nie odpowiadają.

W wypadku tak zdecydowanej linii artystycznej jak linia Fitelberga zróbmy ustępstwo. Bo samo jego nazwisko reprezentuje dziś wytrwałą, bezkompromisową pracę całego życia. Jest symbolem pewnego stylu, który od czasów „Młodej Polski" ciągle się przekształca.

Najlepszym tego dowodem było niezwykle staranne a przy tym entuzjastyczne wykonanie symfonii Witolda Lutosławskiego. Piszę entuzjastyczne, bo w kreowanie tego dzieła włożył Fitelberg tyleż zrozumienia, wysiłku i ognia co ongi, gdy kreował Karłowicza czy III symfonię Szymanowskiego. Zdumiewająca jest żywotność człowieka, który w dzieła pisane dziś potrafi wlać tyleż samo życia co w dzieła, będące nowością w czasach, gdy wchodził pierwszy raz na estradę.

O symfonii Lutosławskiego mogę przytoczyć tu tylko kilka wrażeń. Niezwykle barwna, wspaniale rozplanowana i zrównoważona w swych czterech częściach; wszystkie one posiadają ten sam zwięzły rozwój, wszystkie są równie zajmujące. Jest to dzieło wielkiego formatu, owoc głęboko przemyślanej inwencji. Ta dojrzałość wysuwa Lutosławskiego do pierwszego szeregu naszych kompozytorów i sprawia, że dzieło to godnie reprezentować może i reprezentować powinno naszą twórczość symfoniczną na arenie międzynarodowej. Tchnie bowiem z niego mistrzostwo i to nie byle jakie, nazwę je bowiem „mistrzostwem każdej nuty". Lutosławski pamięta o każdej nucie, zna „jej odpowiedzialność". Pomimo dużej masy dźwiękowej w licznych tutti, nie traci nigdy z oczu praw proporcji i nie zatraca jedności dzieła. Świadomość ta nie hamuje wielkiej młodzieńczości, lirycznego, dynamicznego, gorącego temperamentu, który sprawia wrażenie ciągłego emocjonalnego napięcia, wręcz niepokoju. Nawet druga, wolna część „rwie w pewnej chwili wędzidło" w niecierpliwy i dramatyczny sposób, zanim ostatnia, poetyczna kadencja nie sprowadzi uspokojenia.

Wykonania takie powinny być nagrywane przynajmniej na taśmę, póki nie produkujemy jeszcze płyt.

13 kwietnia dzieła Szostakowicza i „Symfonia liturgiczna" Honeggera pod batutą Rowickiego będą wydarzeniem, które także zmobilizować powinno świat muzyczny i wszystkich, których muzyka interesuje.

W drugiej części Regina Smendzianka, znakomita uczennica H. Sztompki, wykona koncert F-moll Fr Chopina. Piękny ton, techniczny i interpretacyjny poziom pozwalają zaliczyć Smendziankę do najciekawszych talentów młodego pokolenia pianistycznego.

Zygmunt Mycielski

Korespondencja

W SPRAWIE NUMERU ŚWIĄTECZNEGO

Do redaktora „Odrodzenia"

Proszę o umieszczenie następującego sprostowania:

Opracowany przeze mnie wybór z Flauberta i Wiktora Hugo na temat r. 1848 („Odrodzenie" Nr. 13—14) uległ w druku nie tylko skrótom, ale również istotnemu zniekształceniu.

W wyborze z Flauberta („l'Education sentimentale") zachowano dla całości tytuł „Początek rewolucji", gdy dotyczył on tylko pierwszej części. Natomiast opuszczono tytuł „Koniec rewolucji" przed fragmentem, zaczynającym się od słów „plac Panteonu był pełen żołnierzy". W ten sposób rzeź czerwcowa została przedstawiona jako początek rewolucji i dzieje się w lutym.

W wyborze z „Rzeczy widzianych" W. Hugo odwrócono kolejność kalendarza: „Dni czerwcowe" umieszczono przed „Dniami lutowymi". Tym razem więc powstanie czerwcowe wyprzedza rewolucję lutową.

Aleksander Wat (Warszawa)

SPROSTOWANIA

W numerze świątecznym „Odrodzenia" zakradło się szereg błędów, które niniejszym prostujemy:

W artykule Wacława Rogowicza „Pod znakiem wiary w człowieka" (3 szpalta, wiersz 60) zamiast Sabosza ma być **Gapona.**

W artykule Ksawerego Pruszyńskiego „Kwestarz Wielkanocny" nazwy miejscowości mają brzmieć nie Rybczewicze, Kuniów i Harkuszów lecz **Rybczewice, Kurów i Markuszów.**

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia" z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura".** Prosimy o przysyłanie dzienników czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura" pod adresem: Redakcja „Odrodzenia", **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura". Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura". Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 otrzymał w ubiegłym tygodniu ob. Leszczyński Władysław z Żywca za wycinek z „Dziś i Jutro".

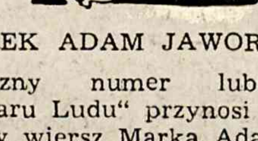
DZWON ZYGMUNTA

Raz po raz rozbrzmiewa na łamach „Dziś i Jutro" potężny głos Zygmunta Jakimiaka. Oto ostatnie uderzenie:

Nie Pani Anielo! Nie będę brał wzorów kultury polemiki od profanów. Lepiej też dla profanów, żeby mnie nie czytali. Poco mają sobie psuć krew, skoro z tego pożytku nie odniosą. Ja piszę do ludzi żywych, żeby żyli, żeby mnie albo z błotem mieszali, albo przyświadczali. Nie piszę dla intelektualnej zabawki, na czym, według Pani, polega kultura. Ja chcę dotykać przeciwników i sam się na to samo wystawiam. Kultura to nie jest dla mnie coś bezpłciowego w rodzaju kapłona. W tym się właśnie różnimy.

Z. Jakimiak.

Wszystkich przeciwników wyżej podpisanego informujemy, że Zygmunt Jakimiak wystawia się codzień od 12 do 14 w redakcji „Dziś i Jutro", Marszałkowska 89. Tamże — dotykanie się i mieszanie z błotem.



MAREK ADAM JAWORSKI

Tysiączny numer lubelskiego „Sztandaru Ludu" przynosi okolicznościowy wiersz Marka Adama Jaworskiego:

III

Hallo, Towarzysze!
Tysięczny numer w teren idzie
Widzicie?
Na wieś i do miasta,
do fabryk i świetlic
kroczą nasze hasła,
by serca prześwietlić.

Lublin, Krasnystaw,
Zamość, Hrubieszów,
Chełm i Szczebrzeszyn..

Widzicie, Towarzysze:
tysięczny numer wyszedł!

Owszem, widzimy, że wyszedł i bardzo nas to martwi. — Marku Adamie Jaworski, nie prześwietlajcie hasłami Lublina, Krasnegostawu, Zamościa, Hrubieszowa, Chełma i Szczebrzeszyna! Więcej egoizmu!



ODKRYCIE AMERYKI

W „Wieczorze" Nr 326 czytamy:

Uczeni amerykańscy uznali, że słynny kamień „Kensington Stone" stanowi autentyczny dokument, stwierdzający, iż kontynent amerykański odkryty został na setki lat przed Kolumbem, oraz zbadany na tysiące mil w głąb na kilka wieków zanim ktokolwiek dotknął stopą wnętrza Ameryki.

Wynika stąd jasno, że odkrycia Ameryki dokonano czołgając się na brzuchu, lub chodząc na rękach do góry nogami. Byłby to dodatkowy dowód na kulistość ziemi.

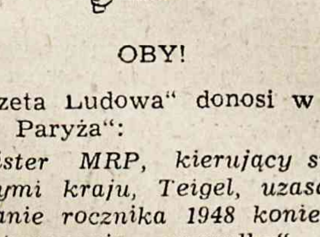


OBRAZA LITERATURY POLSKIEJ

W rozpaczliwym poszukiwaniu tematu do felietonu, snuje Jerzy Waldorff następujące fantasmagorie w 153-cim nr. „Przekroju":

Jeśli jakiegoś literata weźmie chęć napicia się kieliszka wódki, to nie idzie, broń Boże, do knajpy. Co by na to ludzie powiedzieli! Załatwia rzecz inaczej: skoro do drzwi jego mieszkania ktoś dzwoni, żona wychodzi i mówi, że „mąż właśnie wyjechał na rekolekcje do Nieborowa", a literat tymczasem pije pod łóżkiem, przez nos, bo usta ma zakneblowane, żeby po pijanemu nie mógł śpiewać.

Kto zna Janusza Minkiewicza, wie, że jest już nawet przygarbiony od tego ciągłego picia pod łóżkiem.

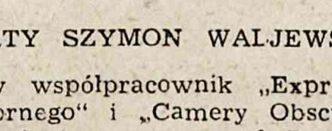


OBY!

„Gazeta Ludowa" donosi w „Liście z Paryża":

Minister MRP, kierujący siłami zbrojnymi kraju, Teigel, uzasadnia powołanie rocznika 1948 koniecznością utrzymania „porządku".

Obawiamy się, że Teigel zechce utorować de Gaullowi drogę, mniej dziecinnymi środkami.



UPARTY SZYMON WALJEWSKI

Stały współpracownik „Expressu Wieczornego" i „Camery Obscury" insynuuje tym razem prof. Raoulowi Koczalskiemu prelekcje:

„...o wpływie Chopina na twórczość różnych kompozytorów, jak Beethovena, Belliniego, Brahmsa, Wagnera i innych".

Beethoven: 1770—1827; Chopin: 1810—1849. Jakiż wpływ mógł wywrzeć kilkunastoletni Chopin na umierającego Beethovena, jeżeli my, ludzie dojrzali, nie jesteśmy w stanie wywrzeć żadnego wpływu na żywotnego Szymona Waljewskiego.



KŁOPOTY Z ORŁEM



Z wypowiedzi czytelników „Dziennika Polskiego" na temat prac wyłonionych w konkursie na nowe godło państwowe, przytaczamy dwie, reprodukując projekt Byliny i Bandtkego, który zdobył najliczniejsze uznanie:

Lucyna Makarewicz z Ostrowca pisze: „Przede wszystkim potężna budowa ciała orła wzbudza zaufanie, następnie głowa, jej kształt spłaszczony (nie gołębi, jak u pozostałych), dalej pewne osadzenie jej na solidnie zarysowanej szyi, no, i ten groźny wyraz oka. Nogi wprawdzie są wielkie i niezgrabne, ale silne i nieustępliwe. Upierzenie ptaka bogate, skrzydła nieprzewiewne, szczelnie osłaniające Polskę. W ogóle całość orła jest jakaś potężna, energiczna, przedsiębiorcza; ma w sobie coś ze stali. Pod takim godłem możemy spokojnie pracować i śmiało patrzeć w coraz lepsze jutro".

Nieco innego zdania jest ob. B. Jukaski z Rzeszowa:

Projekt Michała Byliny i F. Bandtkego odpowiada jeszcze najbardziej pojęciom proporcji, umiaru i estetyki, jednak wzorowany jest na orłach niemieckich, przy czym szpony jego bardzo przypominają swastykę.

Nie zabierając głosu w ankiecie, pragniemy tylko zaznaczyć, że udaje nam się „spokojnie pracować i śmiało patrzeć w coraz lepsze jutro" pod obecnym godłem.



REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, telefon 85-588 — Redaktor przyjmuje od godz. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, telefon 87-112 Konto w PKO nr I-4739.

Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-49889 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik"